W NUMERZE: Polacy za granicą ■ Biznes na kółkach ■ Nad Amurem ■ O sporcie piszą, Andrzej Bogusz i Bogda Madej ■ Wiersze Jerzego Wilmańskiego ■ Wspólne działanie ■ Spotkania Teatralne ■ Magazyn kulturalny

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź 2002

NR 31 (1077) ROK XXI 30 LIPCA 1978 R. CENA 3 ZŁ

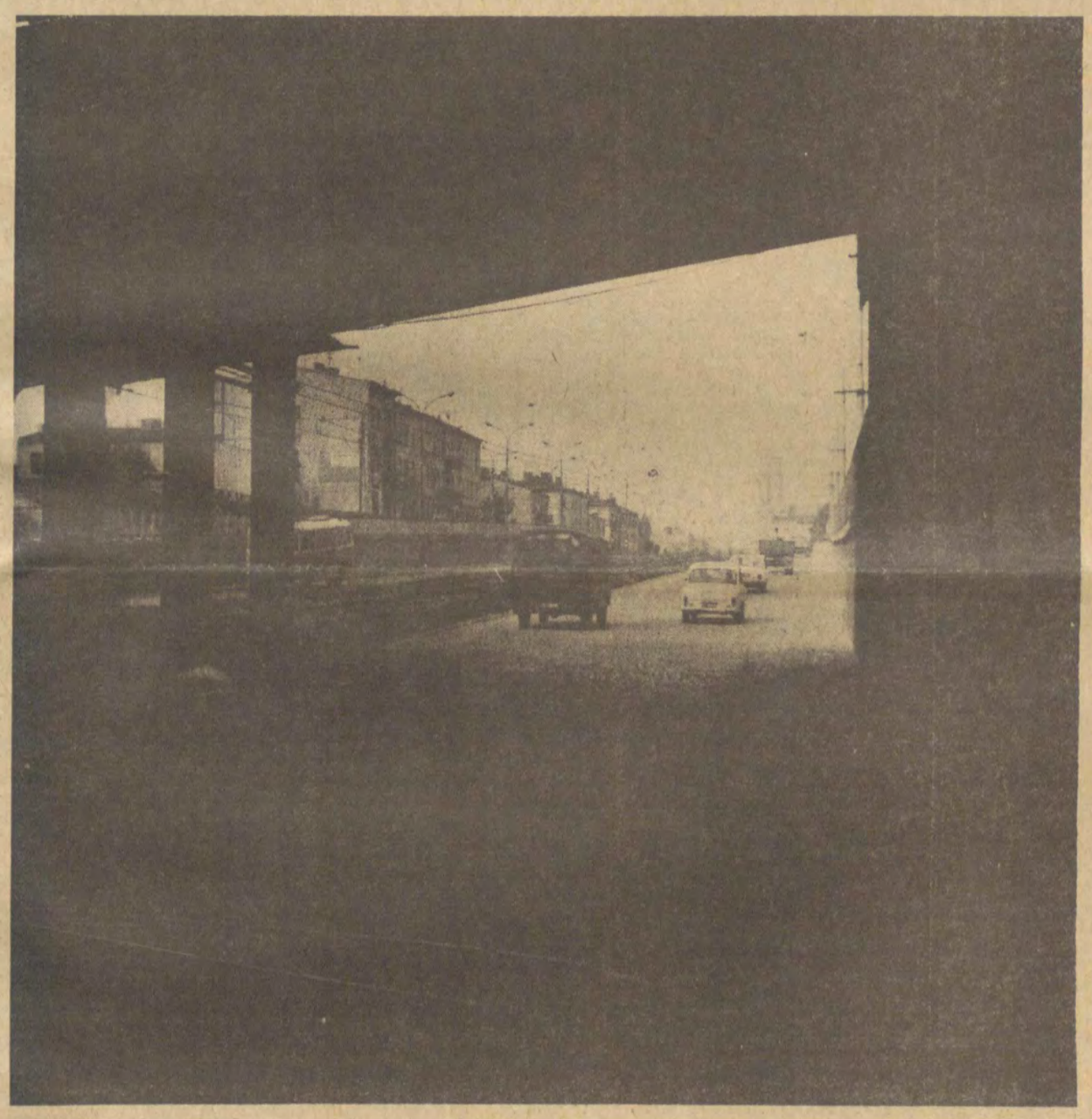

Foto: R. Tabaka

EUGENIUSZ IWANICKI

Z CZYM DO TURYSTY

Postanowiliśmy odpowiedzieć sobie na następujące pytanie: na co może liczyć turysta zmotoryzowany przemierzający Polskę z południa na północ trasą E-16? Chodziło nam o to, czy ma dostateczną ilość obiektów żywienia zbiorowego, moteli i hoteli przydrożnych oraz stacji napraw samochodów. Dokonaliśmy więc penetracji odcinka międzynarodowej drogi E-16 od Łodzi do Gdańska. Refleksje z tego rekonesansu nie nastroiły nas optymistycznie.

Lingwiści potrzebni od zaraz

E-16 jest trasą niezwykle popularną; tędy nad Bałtyk jadą nasi południowi sąsiedzi: Czechosłowacy, Węgrzy, nierzadko spotykałem Rumunów, Jugosłowian i Włochów. Tłok znaczny, bo rodacy także śpieszą nad morze, toteż setki samochodów suną ku północy chcąc przed zmrokiem dotrzeć do jakiegokolwiek większego miasta i otrzymać pokój w hotelu lub łóżko na prywatnych kwaterach. Bo sama trasa E-16 jest pusta, pozbawiona obiektów o charakterze hotelarsko-usługowym. Nie jest źle z gastronomią — mniej więcej co 50 km można trafić na jakiś bar typu **„Leśny dwór"**, gdzie mniej wybredny turysta może się posilić. Oczywiście, może to uczynić w Ozorkowie, Łęczycy czy Włocławku, choć wymaga to kluczenia po obcym, nie znanym mieście, szukania baru czy restauracji, szukania jakże często parkingu. Ale tak na dobrą sprawę, to dopiero po przejechaniu stu czterdziestu kilometrów, pod Toruniem, jest pierwszy **„Zajazd Kujawski"**, gdzie właściciel serwuje potrawy tzw. „kujawskie", czyli bigos i kiełbasę na gorąco. Budynek robi dość dobre wrażenie, na piętrze są pokoje, które miały w założeniu spełniać rolę noclegowych.

— Gdzie ta! — mówi właściciel. — Tam śpio te z kuchni.

— A nie mogą w swoich domach?

— Ni. To so z daleka, miastowe. Wsiowe nie chco, a nawet ich tu tylu ni mo. A miastowemu trza dać miejsce. To żeby spał turysta, to śpi miastowy od kuchni. Ni ma ludzi.

Nie wiem czy mówił prawdę, bo ani jego wygląd, ani akcent nie mogły przekonać o prawdomówności i szczerości. Fakt jest faktem: noclegu nigdzie nie ma.

Tu także, już przy drodze, obserwowałem zmagania tubylców z tury-

Dalszy ciąg na str. 6

JERZY URBANKIEWICZ

IN DUBIO PRO REO albo: CZAS WYJAŚNIĆ TRAGEDIĘ Junoszy-Stępowskiego

Piątego lipca 1943 roku w domu na rogu ul. Poznańskiej i Al. Jerozolimskich został zastrzelony we własnym mieszkaniu jeden z największych aktorów Polski międzywojennej, Kazimierz Junosza-Stępowski. 25 marca następnego roku w tym samym mieszkaniu padła od kul Jadwiga z Kosów Junosza-Stępowska, primo voto Galewska. Dwa te fakty pozostają ze sobą w ścisłym związku. Od 1943 roku ludzie żywiący uczucie osobistej przyjaźni dla Junoszy-Stępowskiego albo też wielbiący jego talent aktorski wracali do tych spraw z zamiarem zdjęcia z niego zarzutów kryjących się najprawdopodobniej pod wyrokiem śmierci, jaki być może został wydany przez jakiś sąd konspiracyjny. Od kul żołnierzy ZWZ zginął w 1941 roku agent wywiadu niemieckiego, aktor Igo Sym. Ta likwidacja spotkała się z powszechną aprobatą w społeczeństwie Polski okupowanej. Toteż łatwo o skojarzenia.

Z wypowiedzi i oświadczeń osób znających osobiście Kazimierza Junoszę-Stępowskiego wynika, że jego stosunek do najbardziej istotnych spraw narodowych i państwowych Polaków był raczej obojętny. Wskutek takiej postawy mógł bez wyrzutów sumienia współpracować z Niemcami. Wiadomo, że współpracował, występując na scenie teatru „Komedia" przy ul. Kredytowej 14 w Warszawie. Charakteryzuje ten teatr S. Marczak-Oborski na łamach „Pamiętnika Teatralnego" (1963, zeszyt 1—4, s. 22), pisząc m. in.: Dzieje tego teatru są niejasne i wymagają gruntownego zbadania. Oprócz Junoszy-Stępowskiego, grało w nim wielu polskich aktorów, którzy jeśli żyją, występują na naszych scenach do dziś. Tak więc jedyna, niewątpliwa wina Junoszy nie mogła być podstawą wyroku sądu podziemnego. Za fakty pozostające w ścisłym związku z tragedią artysty uznać należy narkomanię jego żony oraz podobno uprawiany przez nią proceder pośredniczenia w przekazywaniu pieniędzy i kosztowności okupantom w interesie uwięzionych Polaków. Wszystko inne stało się przedmiotem opartej o domysły ponurej legendy, która dożyła naszych czasów.

Zanim przedstawię różne jej wersje, parę słów o materiałach, z których korzystam. Chyba chronologicznie ostatni głos, jaki zabrzmiał w tej sprawie, to książka Henryka Szletyńskiego, *Szkice o aktorach*, wydana w roku 1975. Oprócz tego sięgnąłem do wycinków z „Dziennika Chicagowskiego", zawierających cykl artykułów Tymoteusza Ortyma pt. *Zabójstwo Kazimierza Junoszy-Stępowskiego*. Pochodzą one z września roku 1960, ale dopiero teraz dotarły do moich rąk. Ortym, to przedwojenny aktor i rezyser, który w latach pięćdziesiątych wyemigrował i zmarł w USA. Wartość jego wynurzeń polega na tym, że operuje on faktami znanymi sobie z autopsji albo powołuje się na wymienionych z nazwiska świadków. Poza tym zarówno Szletyński, jak i Ortym cytują pisemne zeznania czy oświadczenia, których wiarygodność można dziś jeszcze stwierdzić. Szczegóły tej ponurej tragedii bardzo się różnią w relacjach różnych osób.

Szletyński, pisząc o podejrzanych interesach, jakimi się zajmowała żona Junoszy-Stępowskiego, stwierdza bez podania źródła informacji: *(...) organizacja podziemna postanowiła zakończyć je śmiercią. Wyrok dotyczył wyłącznie żony Junoszy-Stępowskiego.* Kilka stron dalej przytacza złożone na piśmie oświadczenie Karola Adwentowicza: *Zasłonił ją w owej sekundzie, gdy naciskali spusty rewolwerowe. Jedna z kul uderzyła w kręgosłup męża Jadwigi Junoszy-Stępowskiej.* W artykule Ortyma znajdujemy m. in. cytaty z wydanej na emigracji książki (...) *natomiast niewątpliwy wypadek samosądu zaszedł w odniesieniu do osoby lekarza dr Wilczyńskiego oraz w stosunku do słynnego aktora Junoszy-Stępowskiego. Obaj zostali zastrzeleni w czasie, gdy sądy już funkcjonowały (sądy podziemne — T. O.) i z tego samego powodu, to jest: utrzymywania stosunków towarzyskich z Niemcami. Los (...) ich ukarał surowo, gdyż za samo utrzymywanie stosunków towarzyskich nie stawiano nawet przed sąd specjalny, tylko przed inną instancję (...)* Ortym przytacza też fragment artykułu Romana Niewiarowicza, drukowanego na łamach „Tygodnika Powszechnego" 20 października 1946 roku. Mowa tam również o tym, że Junosza-Stępowski zasłonił sobą żonę, kiedy strzelano do niej.

Do przesłanek, na których buduje się winę żony Junoszy-Stępowskiego, a pośrednio i jego, należy, jak wspomniałem, jej narkomania, ale również fakt, że w ich mieszkaniu kwaterowali Niemcy. Szletyński cytuje fragmenty listu, jaki wkrótce po wojnie złożył w ZASP-ie nie wymieniony z nazwiska inżynier. Oto jeden z cytatów: *(...) przez pokój, w którym stało jej* (żony aktora — J. U.) *łóżko, przechodziło się do pokoju sublokatora — Niemca, rzekomo* (podkr. moje — J. U.) *dygnitarza w „dystrykcie", i do*

Dalszy ciąg na str. 5

30 rocznica zjednoczenia ruchu młodzieżowego

ZMP-wychowawca pokolenia

ZWIĄZEK MŁODZIEŻY POLSKIEJ był organizacją, która wychowała całe pokolenie Polaków, choć działała tylko 8 lat. ZMP ucieleśnił, od dawna nurtującą polską młodzież, ideę jedności postępowego ruchu młodzieżowego. Tak, jak bowiem w historii ruchu robotniczego obok idei jedności występowały różnice ruch ten dzielące, tak działo się podobnie i w ruchu młodzieżowym.

Droga do jedności

nie była łatwa. W Polsce międzywojennego dwudziestolecia wśród wielu organizacji młodzieżowych działały również i postępowe związane z partiami politycznymi: **Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej, Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici"**. Każda z tych organizacji była „dziedzicznie obciążona" separatystycznymi ideami swojej partii: KPP, PPS czy ruchu ludowego, ale też wśród młodzieży pojawiało się coraz silniejsze przekonanie o potrzebie jedności. Przekonanie to ucieleśniło się w **Deklaracji Praw Młodego Pokolenia z 1936 roku**, pod którą podpisy złożyli młodzi komuniści, socjaliści, ludowcy, demokraci. W czasach wojny i okupacji idea jedności stała się jeszcze silniejsza. Cementowała ją walka ze wspólnym wrogiem. Ale ciągle jeszcze nie było warunków do jej urzeczywistnienia. Takie warunki powstały dopiero w odrodzonej Polsce, kiedy przed młodym pokoleniem stanął wielki cel: zbudowanie nowej, socjalistycznej Polski.

Rok 1947

kiedy partie Bloku Demokratycznego pokonały w wyborach do Sejmu opozycję, kiedy rozprawiono się ze zbrojnym podziemiem, rok ten przyniósł też w ruchu młodzieżowym pierwsze poczynania, które prowadziły do urzeczywistnienia idei jedności tego ruchu.

W **styczniu 1947 roku** powstał **Komitet Demokratyzacji ZMW „Wici"**. Lewicowi młodzi działacze ruchu ludowego postawili sobie zadanie przezwyciężenia w ludowej organizacji młodzieżowej Mikołajczykowskiej opozycji. Bez tego nie mogłoby być bowiem mowy o współpracy z ZWM i OM TUR.

W **lutym 1947 roku** na łamach pisma ZWM — **„Walka Młodych"** ukazuje się artykuł pt. **„Idea jedności dojrzała"**. W artykule tym napisano między innymi: **„Nie ma w młodzieży polskiej zasadniczej rozbieżności interesów i nie ma zasadniczych różnic ideologicznych między demokratycznymi organizacjami młodzieży"**.

Pod koniec **lutego 1947 roku** na plenarnym posiedzeniu **ZG ZWM** przedyskutowano zasady współpracy z OM TUR i zalecono władzom organizacji podjęcie starań o podpisanie umowy o współpracę z OM TUR.

W **czerwcu 1947 roku** na **I Krajowym Zjeździe OM TUR** przezwyciężone zostały opory przeciw współpracy z ZWM.

W **sierpniu 1947 roku Związek Walki Młodych i OM TUR** podpisują umowę o współpracy obu organizacji działających przede wszystkim w środowisku robotniczym.

W **październiku 1947 roku** dochodzi do podpisania umowy o współpracę między trzema organizacjami: **ZWM, OM TUR i ZMW „Wici"**. 6 listopada 1947 roku do współpracy tej włącza się **Związek Młodzieży Demokratycznej.**

Dokonania te poszerzyły i wzmocniły dotychczasowe możliwości współdziałania. Wspólne akcje między poszczególnymi organizacjami podejmowano bowiem i wcześniej, teraz działania te otrzymały najwyższą sankcję i stały się świadomie sformułowanym zadaniem. Powołano też **Główną Komisję Współpracy**, która miała inicjować i koordynować wspólne poczynania, aby w ich toku aktyw organizacji młodzieżowych mógł się bliżej poznać, nauczyć się wspólnego działania. Zwoływano wspólne narady, zebrania, razem organizowano szkolenie, razem bawiono się.

Rok 1948

przyniósł dalsze przedsięwzięcia, które zbliżały moment zjednoczenia ruchu młodzieżowego. W procesie przebudowy społecznej Polski młode pokolenie odgrywało szczególną rolę. Było w znacznej części wolne od balastu ideowych obciążeń, nie przeżywało goryczy i rozczarowań, jakie były udziałem ludzi starszych. Patrzyło śmiało w przyszłość i rwało się do działania. Dla spełnienia tych celów, jak też dla skuteczności programu wychowania młodzieży potrzebna była jedna, zjednoczona, spójnie działająca organizacja młodzieżowa.

W marcu 1948 roku OM TUR występuje z Międzynarodowego Związku Młodzieży Socjalistycznej. Decyzja ta jest faktem świadczącym o odcięciu się młodzieży socjalistycznej od idei reformistycznych, jest zerwaniem z socjaldemokratyczną przeszłością młodzieżowego ruchu socjalistycznego. Od **kwietnia 1947 roku** kierownictwo **ZMW „Wici"** spoczywa w rękach lewicowych działaczy ludowych. Teraz już porozumienie o współpracy przestaje wystarczać. Zostały usunięte podstawowe różnice, które do tej pory utrudniały i uniemożliwiały podjęcie decyzji o zjednoczeniu ruchu młodzieżowego. I taka decyzja zapada **16 kwietnia 1948 roku** na wspólnym posiedzeniu kierownictw 4 organizacji: **ZWM, OM TUR, ZMW „Wici" i ZMD.** Podpisują oni **„Deklarację o jedności ruchu młodzieży polskiej"** oraz wybierają **Centralny Komitet Jedności. 21 kwietnia 1948 roku** podobną decyzję podejmują kierownictwa studenckich organizacji: **Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie", Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, Ogólnokrajowego Komitetu Studiującej Młodzieży Wiejskiej „Wici"** oraz **Związku Młodzieży Demokratycznej.** Organizacje te w dniach 17—18 lipca 1948 roku na **Zjednoczonym Kongresie Studentów** podjęły decyzję o połączeniu się i powołaniu **AKADEMICKIEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ,** który później stał się autonomiczną organizacją ZMP.

W dniach **20—22 lipca 1948 roku** odbył się również we Wrocławiu **Kongres Jedności i Zlot Młodzieży Polskiej,** na którym powołano do życia **ZWIĄZEK MŁODZIEŻY POLSKIEJ.**

Przez osiem lat

działania **Związek Młodzieży Polskiej** wykonał ogromną pracę. Był pierwszym pomocnikiem partii. Stał się siłą społeczną umacniającą państwo ludowe. Wychował całe pokolenie Polaków w idei marksistowskiej. Stworzył dla młodzieży ogromne możliwości awansu, uczył, wychowywał i bawił. Symbolem dokonań pokolenia ZMP jest Nowa Huta, ale przecież członkowie ZMP byli wszędzie obecni. Związek Młodzieży Polskiej zorganizował dwa zaciągi: węglowy w październiku 1952 roku i do pracy w PGR — we wrześniu 1954 roku. Pod kierownictwem ZMP działała Powszechna Organizacja „Służba Polsce", której junacy pracowali we wszystkich możliwych dziedzinach życia gospodarczego budującej się Polski socjalistycznej.

Praca w ZMP była wielką szkołą życia. Byłych aktywistów ZMP można dziś spotkać wszędzie: wśród działaczy partyjnych różnych szczebli, wśród działaczy gospodarczych, są przodującymi robotnikami, dyrektorami, nauczycielami, rolnikami, działaczami ruchu spółdzielczego, twórcami kultury i sztuki. I chociaż ZMP nie uniknęło błędów, jakie były udziałem całego ruchu robotniczego, kiedy pracę polityczną zaczęto zastępować poleceniami administracyjnymi, zbytnio scentralizowano decyzje, mechanicznie naśladowano styl pracy partii, to przecież wszyscy byli zetempowcy z sentymentem wspominają czas swojej pracy w tej organizacji. Był to bowiem czas romantyzmu pierwszych lat budowy socjalizmu w Polsce. Czas całonocnych zebrań, wielkich akcji politycznych i społecznych, gorących sporów i ogromnego entuzjazmu dla wszystkiego, co się wówczas robiło, bo wszystko było nowe, wspaniałe, ponad siły, a przecież — jak wykazała praktyka — do zrobienia.

Dziś do tych najlepszych idei ZMP nawiązuje Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, tak jak też nawiązuje do tradycji innych organizacji młodzieżowych, których działanie legło u podstaw Związku Młodzieży Polskiej.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

LAUREACI NAGRÓD PAŃSTWOWYCH

HENRYK CZYŻ

Z radością przyjęło łódzkie środowisko kulturalne wiadomość o przyznaniu jednej z tegorocznych nagród państwowych w dziedzinie sztuki — nagrody I stopnia — Henrykowi Czyżowi, wybitnemu dyrygentowi, kompozytorowi, kierownikowi artystycznemu Państwowej Filharmonii w Łodzi.

Urodzony w Grudziądzu H. Czyż studiował w poznańskiej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej dyrygenturę u W. Bierdiajewa, a u T. Szeligowskiego — kompozycję. Pracę dyrygencką rozpoczął w Poznaniu, kontynuował na czele Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, a od 1957 roku kierował — po raz pierwszy w swej karierze — łódzką filharmonią. W 1960 roku dyrygent przeniósł się do Warszawy, aby niebawem objąć katedrę dyrygentury w PWSM w Krakowie. W 1974 roku Henryk Czyż rozpoczął ponownie — po kilkunastoletniej przerwie — pracę na stanowisku kierownika artystycznego Filharmonii Łódzkiej, które piastuje do dziś. To jemu właśnie łódzka placówka zawdzięcza w ostatnich latach miejsce wśród czołowych zespołów orkiestrowych w kraju.

W międzyczasie, od roku 1956 do chwili obecnej Henryk Czyż odniósł wiele sukcesów międzynarodowych, dyrygując niemal we wszystkich większych miastach Europy, a także na kontynencie obu Ameryk. W 1970 roku został m. in. generalnym dyrektorem muzycznym w Dusseldorfie. Na zagranicznych estradach występuje nadal, także z zespołem Państwowej Filharmonii Łódzkiej, m. in. na Dniach Kultury Polskiej w ZSRR (w ub. roku) i parokrotnie na Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym w Amalfi, we Włoszech.

Oprócz sukcesów dyrygenckich, ale nie na ich marginesie, życie artystyczne Henryka Czyża wypełnia praca kompozytorska w dziedzinie muzyki symfonicznej, filmowej, teatralnej, a także rozrywkowej i chóralnej.

Szerszemu gronu miłośników muzyki Henryk Czyż jest znany jako autor niezwykle popularnej, cyklicznej audycji telewizyjnej pt. „Nie taki diabeł straszny", a także jako twórca książek: „Ucieczka spod klucza" i „Porcelanowy amorek". W najbliższym czasie ukaże się nowa książka H. Czyża zatytułowana „Serial i inne tizery", a ozdobiona własnoręcznymi rysunkami autora.

Za swoją niestrudzoną działalność na polu popularyzacji i upowszechnienia muzyki H. Czyż był nagrodzony m. in. nagrodą m. Łodzi (w 1958 roku), nagrodą przewodniczącego radiokomitetu, nagrodą ministra spraw zagranicznych, a także Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i wieloma innymi wysokimi odznaczeniami państwowymi i wyróżnieniami.

Prof. dr JAN MICHALSKI

Laureatem państwowej nagrody I stopnia został w bieżącym roku prof. dr **Jan Michalski** — wybitny polski chemik, przewodniczący Łódzkiego Oddziału Polskiej Akademii Nauk.

Jan Michalski jest łodzianinem z urodzenia i wyboru. Chemię studiował na tajnych kompletach uniwersyteckich i politechnicznych. Dyplom zrobił w 1945 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Pracować zaczął w Łodzi, brał udział w organizowaniu Politechniki Łódzkiej i był jej jednym z pierwszych pracowników. W Łodzi związał się z zespołem prof. O. Achmiatowicza, pod którego kierunkiem rozpoczął pracę naukową.

W 1965 roku wszedł w skład Prezydium PAN, był też sekretarzem III Wydziału PAN. W 1968 roku został laureatem nagrody państwowej II stopnia. W 1972 roku objął kierownictwo Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN w Łodzi. W 1978 roku został przewodniczącym utworzonego Łódzkiego Oddziału PAN.

Życie swoje poświęcił nauce, a swoją pasję badacza — chemii fosforu. Wyniki jego pracy pozwoliły stworzyć „szkołę Michalskiego" w tej dziedzinie wiedzy. Zespół kierowany przez prof. dr Jana Michalskiego koncentruje swoją uwagę na zasadniczych kierunkach badań w chemii fosforu: poszukiwaniu nowych typów struktur, przemianach organicznych połączeń fosforu, połączeń biologicznie czynnych oraz poszukiwaniu syntezy nowego typu.

Prof. dr Jan Michalski odbył staż w Cambridge, gdzie też uzyskał stopień doktora. Wszedł później w skład grona profesorskiego Churchill College Uniwersytetu w Cambridge. Jest członkiem wielu międzynarodowych organizacji, a w tym Biura Międzynarodowej Unii Chemii Czystej i Stosowanej, członkiem rad redakcyjnych wielu naukowych czasopism z dziedziny chemii oraz innych towarzystw naukowych. W 1969 roku otrzymał Złoty Medal Miasta Paryża. Otrzymał najwyższe odznaczenie Polskiego Towarzystwa Chemicznego — Medal im. J. Śniadeckiego.

Opublikował przeszło 250 prac naukowych, rozpraw i artykułów, wychował sporą liczbę chemików, kieruje kilkoma zespołami badawczymi w kraju i za granicą. Otrzymał różne międzynarodowe nagrody i wyróżnienia.

Prof. dr SZCZEPAN PIENIĄŻEK I JEGO ZESPÓŁ

Wśród laureatów tegorocznych nagród państwowych znalazł się zespół ze skierniewickiego **Instytutu Sadownictwa,** kierowanego przez prof. dr. **Szczepana Pieniążka.** W skład zespołu, na czele którego stoi prof. dr **Szczepan Pieniążek** wchodzą: prof. dr **Zbigniew Borecki,** inż. **Stanisław Maciej Cegłowski, dr Zdzisław Cianciara,** dr **Alojzy Czynczyk,** dr **Eberhard Makosz,** prof. dr **Aleksander Rejman,** prof. dr **Kazimierz Słowik,** dr **Kazimierz Smolarz,** prof. dr **Zygmunt Soczek,** prof. dr **Zbigniew Suski** i prof. dr **Stanisław Zagaja.**

Prof. dr Szczepan Pieniążek otrzymał za swoje naukowe zasługi Order Budowniczego Polski Ludowej, pełni też funkcję wiceprzewodniczącego Polskiej Akademii Nauk, A zasługi, jakie on i pracownicy Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach ponieśli dla polskiego sadownictwa są niemałe.

Prof. dr **Szczepan Pieniążek** pochodzi z rodziny sadowników z okolic Garwolina. W czasie wojny przebywał w USA, gdzie na Uniwersytecie w Rhode Island zdobył tytuł profesora i był pierwszym polskim profesorem wykładającym w Stanach Zjednoczonych. Po wojnie powrócił do Polski i rozpoczął trudną pracę nad przebudową polskiego sadownictwa. Dzięki jego wysiłkom i pracowników Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach, dzięki temu, że potrafili przekonać i przeszkolić sadowników w Polsce, posiadamy dzisiaj sady, które dają przeszło 60 proc. zbiorów w najlepszych światowych odmianach jabłek, zajmujemy drugie — po USA — miejsce w uprawach truskawek oraz dynamicznie rozwijamy plantacje porzeczek i malin.

Zespół kierowany przez prof. dr Szczepana Pieniążka dąży nie tylko do tworzenia nowych odmian jagód, jabłoń, śliw i truskawek, ale pracuje też nad nowoczesnymi metodami przechowywania owoców i jagód. Współpracuje też z wieloma organizacjami zagranicznymi.

Prof. dr Szczepan Pieniążek jest członkiem wielu międzynarodowych organizacji, laureatem nagród i wyróżnień przyznawanych przez zagraniczne towarzystwa i organizacje.

WOJEWÓDZTWA SIERADZKIEGO

ELŻBIETA JANDL

Elżbieta Jandl od 1974 roku brała czynny udział przy projektowaniu stacji unasiennienia loch, która jako pierwsza w Polsce została wybudowana w województwie sieradzkim. Dynamiczny rozwój tego rodzaju usług obrazuje stale zwiększająca się ilość zainseminowanych loch, która od 101 sztuk w roku 1974 osiągnęła liczbę 9780 sztuk w roku ubiegłym. Średnia ilość prosiąt w miocie po inseminacji wynosi 10,3 sztuk. Docelowo stacja unasiennienia loch w Krobanówku ma zapewnić rozród świń w całym województwie sieradzkim.

Oprócz działalności w samej stacji prowadzone są przez Elżbietę Jandl prace naukowo-badawcze o tematyce: „Założenia technologiczno-produkcyjne stacji unasiennienia loch", „Obserwacje wartości knurów jako rozpłodników" i „Próby konserwacji nasienia knurów w niskich temperaturach".

EDWARD KOPCZYŃSKI

Edward Kopczyński w 1950 roku ukończył Wydział Stomatologiczny Akademii Medycznej i od tego czasu nieprzerwanie pracuje w służbie zdrowia. Z chwilą nowego podziału administracyjnego kraju podjął pracę w województwie sieradzkim. Jest kierownikiem wojewódzkiej przychodni stomatologicznej.

Jako pisarz debiutował w 1964 roku, wiążąc swoją twórczość z Sieradzkiem. W 1968 roku wydano jego powieść „Kłusownik chodzi nocą", w 1969 — „Ślady na śniegu", w 1970 roku „Egzamin łowiecki" — połączone osobami bohaterów, wznowione zostały w 1971 roku, jako trylogia myśliwska pt.: „Przygody łowieckie".

Bogactwo wzorów godnych naśladowania, ich związki ze współczesnością, a także umiejętność widzenia zwykłych, codziennych spraw i problemów ludzi młodych, czyni z Edwarda Kopczyńskiego pisarza cieszącego się dużym powodzeniem na rynku księgarskim.

TADEUSZ OLEJNIK

Tadeusz Olejnik otrzymał nagrodę za organizowanie i rozwijanie społecznych form pracy kulturalno-oświatowej. Jego szczególną zasługą jest zorganizowanie muzeum regionalnego w Wieluniu, która to placówka należy obecnie do przodujących w kraju. Prowadząc rozwinięte na szeroką skalę badania naukowe nad regionem Muzeum Ziemi Wieluńskiej utrzymuje jednocześnie żywe kontakty z ośrodkami naukowymi Łodzi, Opola i Poznania.

Dr Tadeusz Olejnik chlubi się pokaźnym dorobkiem naukowym, dzięki któremu wzbogacona została wiedza historyczna o województwie sieradzkim. Jest współautorem dzieła pt. „Miasta polskie w tysiącleciu" oraz autorem takich książek jak: „Pieczęcie i herby miast Ziemi Wieluńskiej", „Plany i widoki dawnego Wielunia", „Bibliografia Ziemi Wieluńskiej", a także przewodnika turystycznego po Wieluniu.

Dr Tadeusz Olejnik jest też redaktorem popularnonaukowego kwartalnika wydawanego przez Muzeum Ziemi Wieluńskiej oraz „Rocznika muzeów i ochrony zabytków ziemi Polski środkowej". Pod jego redakcją ukazały się zbiorowe publikacje: „Udział ziem dorzecza górnej Prosny w plebiscycie i w Powstaniach Śląskich" oraz rocznik „Nad górną Prosną". Jest też dr Olejnik autorem pracy „Hitlerowska polityka walki z polskością na obszarze powiatu wieluńskiego w latach 1939—1945", za którą uzyskał nagrodę Prezydium byłej WRN w Łodzi w konkursie na najlepsze prace doktorskie związane z regionem łódzkim.

W uznaniu zasług w pracy muzealnej dr Olejnik został członkiem Polskiego Komitetu Narodowego w International Council of Museums — wyspecjalizowanego komitetu UNESCO w Paryżu. Jako działacz społeczny był współorganizatorem Towarzystwa Przyjaciół Wielunia. Pracował w Komisji Oświaty i Kultury KW PZPR oraz komisji ideologicznej KP PZPR. Uczestniczy również w pracach Związku Ochotniczych Straży Pożarnych, gdzie pełni funkcję wiceprezesa Zarządu Wojewódzkiego.

RYSZARD ROSIN

Docent dr Ryszard Rosin od kilkunastu już lat prowadzi badania naukowe nad przeszłością ziem województwa sieradzkiego. Jego dorobek naukowy z tego zakresu obejmuje kilkanaście publikacji naukowych, zaś takie prace jak: „Ziemia Wieluńska w XII—XVI w.", „Studia z dziejów osadnictwa" oraz „Słownik historyczno-geograficzny Ziemi Wieluńskiej w średnowieczu" są pionierskimi pracami tego typu w skali ogólnopolskiej.

Dzięki badaniom doc. dr Ryszarda Rosina Ziemia Wieluńska i Sieradzka uzyskały należne im miejsce w polskiej nauce.

Niezależnie od poważnych osiągnięć naukowych doc. dr Ryszard Rosin położył duże zasługi w popularyzacji wyników swoich badań. Łączy w sobie rzadko spotykaną osobowość badacza, popularyzatora i działacza społecznego. Był współorganizatorem lub aktywnie uczestniczył w 5 sesjach naukowych i popularnonaukowych organizowanych w województwie w ostatnich latach. Z jego inicjatywy organizowane są w województwie sieradzkim studenckie obozy naukowe, w trakcie których powstaje dokumentacja miejsc pamięci narodowej, źródeł paleograficznych i hagiograficznych. Przez wiele lat jako redaktor „Rocznika Łódzkiego" oraz zastępca redaktora „Regionu Łódzkiego" utrzymywał ścisłe kontakty z pracownikami wieluńskich i sieradzkich placówek naukowo-oświatowych, umożliwiając im publikacje wyników ich prac na łamach wymienionych periodyków. Przy jego aktywnym współudziale powstało w Sieradzu koło Polskiego Towarzystwa Historycznego. Doc. dr Ryszard Rosin aktywnie pracuje w Polskim Towarzystwie Historycznym oraz w Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich

ZESPÓŁ RACJONALIZATORÓW ZUGiL W WIELUNIU

Zespół racjonalizatorów z Zakładów Urządzeń Galwanicznych i Lakierniczych „ZUGiL" w Wieluniu w składzie: **ZDZISŁAW CIEŚLAK, LUCJAN GWORYS, ANDRZEJ IDACZYK, SŁAWOMIR KLIMAS i STANISŁAW SZEWCZYK.**

Zespół ten jest twórcą projektu racjonalizatorskiego pod tytułem: „Drzwi do suszarek SKK rozsuwane mechanicznie na boki". Przedmiotem usprawnienia dokonanego w tym projekcie jest wyeliminowanie zespołów importowanych z krajów kapitalistycznych oraz zaprojektowanie zespołu napędowego i sterującego drzwi mechanicznych do suszarek komorowych na elementach produkowanych w kraju. Projekt racjonalizatorski poprawia także niezawodność pracy suszarek przez zastąpienie dotychczasowych dwóch źródeł napędu — jednym. Poprzednie rozwiązanie techniczne tych suszarek zakupione było poprzez umowę licencyjną. Suszarki te produkowane dla odbiorców krajowych i zagranicznych służą do podgrzewania elementów nalewanych różnymi farbami. Projekt racjonalizatorski wieluńskiego zespołu, poprzez wyeliminowanie części importowanych, dał w roku ubiegłym efekty ekonomiczne w wysokości 10,5 mln zł, a w roku bieżącym ma dać efekty wartości 15 mln zł.

Z okazji 34 rocznicy Odrodzenia Polski Rada Państwa w uznaniu szczególnych zasług dla rozwoju gospodarki i kultury nadała przedsiębiorstwom, związkom, redakcjom i organizacjom wysokie państwowe odznaczenia. Wśród 68 odznaczonych są między innymi:

— Chodakowskie Zakłady Włókien Sztucznych „CHEMITEX" w Sochaczewie,

— Rolnicza Spółdzielnia Wytwórcza „SREBRNA DĄBRÓWKA" w Dąbrówce Wielkiej w województwie miejskim łódzkim,

— Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr Adama Próchnika w Łodzi,

— Zakłady Przemysłu Wełnianego „WOLANA" w Zduńskiej Woli.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBAŃKIEWICZ.

Foto: Archiwum

BAZYLI BOŃCZAK

WSPÓLNIE DZIAŁAĆ

VII Zjazd PZPR, którego kierunki rozwinęła II Krajowa Konferencja postawił przed całą partią i narodem zadania dalszego podnoszenia jakości pracy politycznej i ideowo-wychowawczej, usprawnienia metod gospodarowania, kształtowania socjalistycznej świadomości społeczeństwa i stylu życia oraz pogłębienia demokracji socjalistycznej. Odpowiedzialne i rozległe obowiązki przypadają w tej dziedzinie wyższym uczelniom. Uczelnie, zwłaszcza uniwersytety — jak powiedział na inauguracji roku akademickiego w Poznaniu tow. Edward Gierek — „mają wielką rolę do spełnienia w rozwijaniu kultury narodowej, w upowszechnianiu ideowych i moralnych walorów socjalizmu, w kształtowaniu obywatelskich i patriotycznych postaw, w zacieśnianiu jedności naszego narodu wokół programu rozwoju kraju wysuniętego przez partię". Nawiązując do tego stwierdzenia pragnę omówić na przykładzie naszego Uniwersytetu i jego organizacji partyjnej, niektóre problemy pracy politycznej i ideowo-wychowawczej.

O skali zadań, jakie przed nami stoją, niech świadczy fakt, że w roku akademickim 1977/78 w Uniwersytecie Łódzkim na studiach stacjonarnych, zaocznych i wieczorowych zdobywa wiedzę ok. 17 tysięcy studentów. Kadra nauczycieli akademickich liczy 1 500 osób, w tym 190 profesorów i docentów. Uczelnia prowadzi 32 kierunki studiów, 45 specjalizacji, przy czym zajęcia odbywają się także poza Łodzią i w siedmiu punktach konsultacyjnych. W ciągu 33 lat istnienia Uniwersytetu jego mury opuściło ponad 32 tysiące absolwentów.

Wprawdzie jest w Polsce szereg większych i o bogatszej tradycji wyższych uczelni, ale wydaje się, że na terenie Polski Środkowej, w dużym ośrodku przemysłowym, jakim jest Łódź, Uniwersytet Łódzki odgrywa szczególnie ważną rolę naukową i społeczno-kulturalną. Ilustracją tego stwierdzenia niech będą dane, że tylko w 1977 r. Uczelnia uczestniczyła w badaniach 42 problemów centralnie sterowanych, w których realizowała 156 tematów. Podobnie wygląda realizacja w 1978 roku.

Równolegle do rozwoju badań naukowych głównym zagadnieniem pracy Uczelni jest wzmożenie dbałości o wyższą jakość kształcenia i wychowania. Uważamy bowiem, że dążenie do wzorowego wypełniania obowiązków przez nauczycieli akademickich oraz świadomego traktowania w równej mierze praw i obowiązków przez studentów powinno stanowić trwałą cechę życia szkoły wyższej. Dlatego też pilną i baczną uwagę przywiązujemy do rzetelnego przestrzegania dyscypliny pracy i studiów oraz przezwyciężania panującego wśród części studentów braku zapobiegliwości o terminowe wypełnianie obowiązków określonych regulaminem studiów, a wśród nauczycieli akademickich nadmiernego liberalizmu i zbytniej tolerancji w tej dziedzinie.

Władze Uczelni i Komitet Uczelniany zgodnie uznają, iż doniosłą rolę w oddziaływaniu wychowawczym na młodzież odgrywa osobisty przykład nauczyciela akademickiego, w myśl znanej dewizy, że uczy się słowami a wychowuje właśnie dobrym przykładem. Z tego względu wysiłki nasze zmierzają do upowszechnienia rozmaitych form kształtowania przez kadrę pożądanych postaw naszych wychowanków. Wychodzimy z założenia, że oprócz określonego zasobu wiedzy, odpowiadającej współczesnemu poziomowi nauki, absolwent powinien wynieść z Uniwersytetu naukowy światopogląd oraz pełne wyposażenie w zespół przymiotów takich, jak: poczucie odpowiedzialności i dyscypliny, godności i rzetelności jak również umiejętności pracy twórczej, kierowania pracą zespołową i wysoką kulturę. W życiu powinien kierować się socjalistyczną zasadą, według której praca jest najistotniejszym miernikiem wartości człowieka. Pragniemy wreszcie, aby wychowanek socjalistycznej Uczelni rozumiał prawidłowości rozwojowe Polski Ludowej i znał swoje miejsce w społeczeństwie, z którego się wywodzi. Obowiązkiem szkoły musi być przeto wypełnianie roli przewodnika w procesie włączania studenta w życie dorosłe i samodzielne.

Partnerem w rozwijaniu zintegrowanego systemu oddziaływań wychowawczych, organizującym rówieśniczy ruch samowychowawczy młodzieży jest Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. W naszej Uczelni zdołał on skupić w swoich władzach studentów, którzy m. in., dzięki uzyskiwanym dobrym i bardzo dobrym ocenom tworzą aktyw studencki o znacznej i nośnej sile oddziaływania.

W całokształcie realizowanych zadań pragniemy umacniać przodującą rolę partii, zorganizowanej w Uczelni w 12 podstawowych i 9 oddziałowych organizacjach partyjnych. Przedmiotem naszej szczególnej troski jest dalszy, nieprzerwany rozwój uniwersyteckiej organizacji partyjnej poprzez pozyskiwanie do jej szeregów najbardziej wartościowych młodych pracowników nauki i wzorowych studentów wyróżniających się nienaganną postawą ideowo-moralną, aktywnością polityczną i zawodową.

Szerzej niż dotychczas zamierzamy korzystać z możliwości udzielania rekomendacji wstępującym do partii studentom poprzez rodziców (często działaczy partyjnych, państwowych, gospodarczych) i nauczycieli ze szkół średnich. Przyjmując do partii przede wszystkim wyróżniających się studentów II i III roku studiów chcemy osiągnąć taki klimat, aby o możliwości i autentycznej potrzebie wstąpienia do PZPR, konieczności określenia się politycznego i światopoglądowego, studenci rozmawiali między sobą, aby decyzje o sposobieniu się do partii zapadały w gronie rówieśników, w pokoju domu studenckiego, w przerwie między wykładami, w czasie wspólnie spędzonych wolnych chwil. W tym ważnym procesie liczymy na skuteczne współdziałanie aktywu i działaczy Socjalistycznego Związku Studentów Polskich.

Stąd też Komitet Uczelniany podjął inicjatywę, aby wspólnie ze Studium Wojskowym i z Radą Uczelnianą SZSP zorganizować Studium Wiedzy o Partii, w ramach którego studenci mogą uzyskiwać niezbędne informacje o celach i zadaniach organizacji partyjnej w Uczelni, spotkać się z sekretarzami Komitetu Łódzkiego PZPR i sekretarzami Komitetu Uczelnianego, dowiedzieć się, jak odnaleźć najkrótszą drogę do organizacji partyjnej. Studium takie działa już dwa lata w naszej Uczelni i co roku, po kilkudziesięciu jego słuchaczy ubiega się o przyjęcie w poczet kandydatów PZPR.

Niewątpliwym, stwierdzanym przez nas wielokrotnie pozytywnym objawem jest autentyczne zainteresowanie wśród studentów problemami partii i jej roli w życiu kraju, miasta, uczelni, wydziału i instytutu. Jest to istotny element świadczący o ideowo-politycznym i społecznym zaangażowaniu młodzieży.

Realizując uchwałę Egzekutywy Komitetu Łódzkiego PZPR w sprawie pracy partyjnej w wyższych uczelniach oraz uchwałę VI Uczelnianej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej skupialiśmy swą uwagę nie tylko na doskonaleniu pracy wewnątrzpartyjnej, ale również na rozwoju szeregów partyjnych. W maju br. uniwersytecka organizacja partyjna, po raz pierwszy w swojej historii przekroczyła stan tysiąca członków i kandydatów. Ze zrozumiałych względów jest to powód do dumy, ale równocześnie zwiększona odpowiedzialność za wszechstronny dynamiczny rozwój Uniwersytetu.

Organizacja partyjna w Uniwersytecie Łódzkim liczy aktualnie 1 005 towarzyszy, a w tym 270 studentów. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wstąpiło do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Uniwersytecie Łódzkim 165 osób, w tym 124 studentów i 28 młodych pracowników nauki. Warto także dodać, że w tym samym czasie 38 naszych towarzyszy, w większości absolwentów UŁ, przekazaliśmy do innych organizacji partyjnych.

Wzrost szeregów poprzedzony był wielomiesięczną pracą wyjaśniającą i agitującą naszego aktywu, a przede wszystkim egzekutyw podstawowych i oddziałowych organizacji partyjnych. Słowa uznania należą się wszystkim towarzyszom, którzy rzetelnie spełniali swój partyjny obowiązek troski o rozwój nie tylko ilościowy ale i jakościowy naszej organizacji.

Dodajmy, że praca ideowa z młodzieżą najlepiej przebiegała w POP Zakładu Kształcenia Nauczycieli w Zgierzu, POP Wydziału Prawa i Administracji, POP Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego oraz POP Wydziału Filozoficzno-Historycznego.

Doc. dr BAZYLI BOŃCZAK
I sekretarz KU PZPR
Uniwersytetu Łódzkiego

Foto: W. Parys

POLITYKA NAUKOWA MIĘDZYWOJENNEGO DWUDZIESTOLECIA

Nowoczesna nauka nie może się normalnie rozwijać, kiedy nie ma własnego państwa. Odzyskanie przez Polskę niepodległości stworzyło nowe, znacznie korzystniejsze od dotychczasowych warunki dla rozwoju nauki polskiej. Wprawdzie z perspektywy naszych czasów dorobek międzywojennego dwudziestolecia w tym zakresie wydaje się skromny, nieporównywalny z tym, co osiągnęliśmy w Polsce Ludowej, przecież jednak trudno go bagatelizować. Przed I wojną światową było jedynie kilka polskich wyższych uczelni, działających na terenie zaboru austriackiego.

W 1939 r. państwo polskie posiadało już 32 szkoły wyższe, w tym 13 państwowych uczelni akademickich. Nie wszystkie marzenia udało się zrealizować, społeczeństwo i środowiska naukowe oczekiwały z całą pewnością znacznie więcej. Mimo wielekroć podnoszonych postulatów nie doszło do utworzenia uczelni akademickich ani na Górnym Śląsku, ani w Toruniu, gdzie mniejszość niemiecka poważnie myślała o utworzeniu własnej uniwersyteckiej placówki. Ambicje tak dużego ośrodka, jakim była Łódź, zadowolono jedynie w niewielkiej części, skoro powstał tu tylko oddział warszawskiej Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Kadra pracowników naukowych, która u progu odzyskania niepodległości liczyła niewiele ponad tysiąc osób, w przededniu wybuchu II wojny światowej obejmowała blisko dwa i pół tysiąca pracowników naukowych. Liczba profesorów szkół akademickich niemal się podwoiła: bezpośrednio po zakończeniu I wojny światowej było ich nieco ponad czterystu, w 1939 r. już ponad ośmiuset; szybciej wzrastała kadra pomocniczych pracowników nauki. Ani z perspektywy dzisiejszej, ani w porównaniu ze stosunkami, panującymi w rozwiniętych krajach europejskich w okresie międzywojennym, nie było to zbyt wiele. Ale w Polsce, która po I wojnie światowej miała niezmiernie niski pułap startu, nie było to bez znaczenia.

Trudnego zadania zbilansowania dorobku rozwoju nauki polskiej w okresie międzywojennego dwudziestolecia podjął się Bohdan Jaczewski w opublikowanej przez Instytut Historii Nauki i Techniki PAN monografii **„Polityka naukowa państwa polskiego w latach 1918—1939"**, ogłoszonej przez wrocławskie Ossolineum (1978). Jest to jedna z wciąż nielicznych w naszym naukowym piśmiennictwie prób monograficznego opracowania ważnego wycinka dziejów nauki w czasach najnowszych. Nie mogąc w jednej pracy zrobić wszystkiego, co należałoby uczynić dla możliwie wszechstronnego zanalizowania tej złożonej problematyki, autor spojrzał na badany przez siebie problem z jednego, określonego punktu widzenia, mianowicie z punktu widzenia dziejów polityki naukowej przedwojennego państwa. Przedstawił więc w swej książce **„kształtowanie polityki naukowej — rozumianej nie tylko jako zespół decyzji praktycznych typu finansowego i organizacyjnego, podejmowanych przez państwo, ale jednocześnie jako wyraz określonego sposobu widzenia sytuacji nauki, jej rozwojowych możliwości oraz jej społecznej roli".**

Śledząc dzieje naukowej polityki państwa w okresie międzywojennym B. Jaczewski położył nacisk na podkreślenie istotnej roli, jaką odegrało polskie środowisko naukowe zarówno w pracy nad odbudową życia naukowego i placówek badawczych po I wojnie światowej, jak również w pracach **„nad opracowaniem i realizacją badań zespołowych, służących potrzebom społeczeństwa".** W szeroko udokumentowanych rozważaniach podkreślił on, że w okresie początkowym zainteresowania władz państwowych sprawami nauki były nad wyraz skromne i ograniczały się do sporadycznego subsydiowania inicjatyw, wiążących się z rozwojem organizacyjnym poszczególnych placówek naukowych. Niebawem sytuacja ulegnie zmianie, kiedy międzywojenne państwo pocznie poszukiwać form dla sprawowania ogólnego rozwoju nad nauką, a w szczególności szkolnictwem wyższym, co przez cały okres międzywojenny doprowadzało jak wiadomo do najróżniejszych spięć i konfliktów.

Jest B. Jaczewski w swych ocenach realistą: z jednej strony nie myśli przyznać racji tym licznym naówczas przedstawicielom środowiska naukowego, którzy w imię anachronicznej idei jakoby absolutnej niezawisłości nauki od polityki państwa przeciwstawiali się wszelkim, nawet najbardziej uzasadnionym próbom powiązania badań naukowych z potrzebami państwa. Z drugiej zaś strony podkreśla, że zwłaszcza w okresie po przewrocie majowym, a w szczególności w czasach działalności osławionych braci Jędrzejewiczów, ingerencja państwa w sprawy nauki nie przysporzyła sukcesów właściwie nikomu, skoro miała na celu doraźne, zgodne z polityką obozu rządzącego cele polityczne, zdławienia i zastraszenia opozycji w środowiskach naukowych. Podkreśla, że zwycięstwo sanacji zostało przez polskie środowiska naukowe przyjęte na ogół niechętnie, zaś takie wydarzenia, jak procesy brzeskie oraz Ustawa o szkołach akademickich z 1933 roku stały się przyczyną ostrego zaostrzenia się konfliktu kół naukowych z rządem. Sanacyjną rzeczywistość — powiada na zakończenie swoich rozważań B. Jaczewski — **„pogłębiające się rozczarowanie wobec systemu niesprawiedliwości społecznej oraz ewolucja sanacji w kierunku totalitarnym umacniały tendencje lewicowe".**

Kończąc swe rozważania B. Jaczewski raz jeszcze zwraca uwagę na **„działalność tych uczonych i organizatorów nauki, którzy rozumieli, że bez planowej organizacji badań naukowych nie można myśleć o szybkim rozwoju kulturalnym i gospodarczym państwa polskiego. Przygotowywali oni program polityki naukowej związany z żywotnymi potrzebami kraju, ale jego konsekwentna realizacja wymagałaby znacznie większych nakładów finansowych niż te, które przeznaczono na naukę w Polsce międzywojennej".**

ANDRZEJ F. GRABSKI

JERZY WILMAŃSKI

LEKTURY

Kobieta czyta książki

Zdejmuje z półek
odkłada na półki
przekracza progi salonów i epok
wchodzi domowym pantoflem
w ciemne korytarze ludzkich wnętrz

Jej myśl płynie żyłami
bohaterów
pełnymi czarnej słonej krwi

Odwiedza spelunki i pałace
przygląda się mrocznym okrutnym myślom
autorów

Potem wstaje z fotela
na powrót naiwna i czysta
strząsa popiół
ściera krew
wietrzy pokój z oparów epok
na powrót naiwna i czysta

Błogosławiona między barbarzyńcami
którzy przerażeni
śnią po nocach
zawikłane i tragiczne
dzieje ludzkich klęsk

PROŚBA

Nie daj mi Panie
odpłynąć w chmury na starym tapczanie
Nie trzymaj zbyt długo
w bólu i rozpaczy przed cienistą smugą
Pozwól cień przekroczyć
kiedy sen mnie zmorzy w samym środku nocy

PAMIĘĆ

Niewiele pamiętam — mgłę i wiatr
szorstkość języka — potu zapach
pamiętam duszny schyłek lata

I to jak wiatr mnie porwał nocą
i rzucił w pryzmę burych liści.
Ta noc się nieraz jeszcze przyśni.

I to już wszystko. Cóż zostanie?
To zapomnienie — wspominanie
I to już wszystko. Cóż zostało?
Niby tak wiele — a tak mało.

ŚWIT I

Poszum windy gwałtowny na stalowej szynie.
Potem cisza. Noc dyszy w samym środku czerwca.
Historia nas nabiera na znane szyderstwa
a ty czekasz. I wstaniesz o rannej godzinie
kiedy się noc wyłączy, kiedy dzień zadzwoni
I nową zmarszczkę ujrzysz na spoconej dłoni.

ŚWIT II

Znów jestem przed świtaniem
przed błyskiem pioruna
który rozcina chmury ledwo obudzone

Znów jestem przed szaleństwem
przed zapamiętaniem
przed zapomnieniem, w którą wybrałem się stronę

Róża wiatrów wskazuje
cztery strony świata
jesień się rozkłębia skrzydlaty koń ulata

I świt mnie przywołuje
do złego porządku
A w dłoniach trzymam kłębek poplątanych wątków

MIROSŁAW KUŹNIAK

DWIE KAWY

— Wychodzisz? — dobiega z fotela pod oknem, w którym ojciec, jak zwykle o tej porze, czyta popołudniową gazetę. Fotel jest jedynym naprawdę starym sprzętem w mieszkaniu. Michał nie pamięta, kto wniósł go tutaj, kto ustawił pod oknem tak przemyślnie, że można było siedząc w nim bez potrzeby odwracania głowy spoglądać przez szybę i widzieć wnętrze pokoju. O tym, że w fotelu może siadać jedynie ojciec Michał dowiedział się, gdy miał trzy lata. Na dźwięk dzwonka matka, nim otworzyła drzwi, zawsze spędzała go z fotela: „Zejdź, Michaś, tatko wraca z pracy. No już!" Ojciec długo i metodycznie mył ręce, a potem z westchnieniem ulgi siadał w fotelu i spokojnie dysponował: „Przynieś, Michasiu, pantofle".

Gdy Michał dorósł starał się nie siadać w fotelu nawet podczas nieobecności ojca. Natomiast lubił gładzić jego chłodne i śliskie oparcie, w którym wraz z biegiem lat wyraźniało małe wgłębienie. O to miejsce ojciec wspierał głowę. Wystarczyło wtedy tylko zamknąć oczy, aby zobaczyć go tak siedzącego nieruchomo wpatrzonego w okno, odpoczywającego.

— Misiu ojciec cię pyta, czy wychodzisz? — łagodnym, lekko karcącym głosem mówi matka.

— Wychodzę, wrócę przed kolacją — uprzedza jej następne pytanie.

Jeszcze w drzwiach zatrzymuje się na chwilę nadsłuchując głosu ojca, ale w pokoju panuje cisza. Mógł choćby spytać, czy mam pieniądze — myśli rozżalony zbiegając ze schodów.

Jednak trzeba było poprosić — rozstrzyga już na ulicy mocując się z opornym guzikiem przy kurtce. Pod butami głośno chlupocze błoto. Na chodnikach nie ma już śniegu, tylko przy krawężnikach leżą jeszcze brudnoszare zwały.

„Trzeba było poprosić. Może staruszek wysupłałby kilka groszaków? Ech, szkoda marzyć. Czy wczoraj nie prosiłem go o pieniądze?" Właściwie zdecydował się na tę rozmowę po sprzeczce z Joanną. „Nie masz pieniędzy na kawę, to poproś starego. Od czego w końcu są rodzice? No, nie bądź taki gamoń i twardo zażądaj choćby setki. Starczy nam na tydzień".

Zaczął więc tę rozmowę z ojcem, choć wiedział, że będzie to niepotrzebna strata czasu. Ojciec nieraz wszem i wobec wygłaszał swoją żelazną zasadę: dzieciom nie daje się pieniędzy do ręki.

— Mógłby mnie tata, przestać już traktować jak dziecko, jestem dorosły, przecież za dwa lata kończę studia.

— Dla mnie wtedy będziesz dorosły, gdy przyniesiesz zapracowane pieniądze — powiedział ojciec spokojnie nie podnosząc głowy znad rozłożonej gazety.

— Przecież dostaję stypendium.

— Ty, Michał, wiesz, że z twojego stypendium nie biorę nawet złotówki, a powiem ci więcej, muszę do niego sporo dokładać. Myślisz, że za trzysta złotych można wyżywić i ubrać prawie dorosłego mężczyznę? Zresztą, na książki nie żałuję ci pieniędzy a na przejazdy tramwajem dostajesz od matki.

Po tej rozmowie Michał był wściekły, nie na ojca lecz na Joannę. W końcu to ona zmusiła go do tej rozmowy o pieniądzach.

Gdyby nie Joanna... mój Boże, dlaczego nie powiedział ojcu o Joannie?

Poznali się niedawno, ale Michałowi wydaje się że to wszystko, co było przed Joanną, jest już dalekie, nierealne. Właściwie nie mógłby nawet określić, kiedy nastąpiło to przejście z nierzeczywistej egzystencji w realne istnienie z Joanną. Po prostu któregoś dnia zaczęli spotykać się nie w małej uniwersyteckiej kafejce, a w kawiarni w centrum miasta. Tu mogli rozmawiać, z dala od ciekawskich oczu koleżanek i kolegów z wydziału.

„Akademicką" zaproponowała Joanna. Michał długo krążył po uliczkach śródmieścia, nim odnalazł mały, brudnoszary szyld. Nie wiadomo kto i dlaczego wybrał dla tej kawiarni taką nazwę. Do ośrodka akademickiego było stąd daleko. Sam lokal, dwie brudne i ponure salki rzadko odwiedzali młodzi. W pierwszej, niebotycznie zadymionej, siedzieli przy stolikach emeryci, przez całe dnie stukając wypożyczonymi u szatniarza kostkami domina. W drugiej większość stałych bywalców rekrutowała się z typowych handlarzy „żywym towarem" i ich wpadających tu na chwilkę relaksu pracownic.

Michał z Joanną znajdowali zwykle wolny stolik w pierwszej sali, blisko szatni, skąd byli prawie niewidoczni. Emeryci pochłonięci dominem nie zwracali na nich uwagi. W tym kącie mogli szeptać i całować się, nawet pieścić rękoma głęboko ukrytymi pod stolikiem.

— Czekam tu już od dwudziestu minut — mówi Michał, gdy Joanna z trudem przecisnęła się między rozemocjonowanymi graczami.

— Tylko dwadzieścia minut? Myślałam, że więcej.

— Uważasz, że dwadzieścia minut, to mało?

— Dużo, dużo — mówi pojednawczo Joanna widząc zachmurzoną twarz Michała — przestań zrzędzić, wieczność przed tobą, a ty awanturujesz się o kilkanaście minut.

— Nie cierpię niepunktualności.

— Będziesz więc musiał się przyzwyczaić. Och, głuptasie, lepiej pocałuj — Joanna pochyla się nad stolikiem. — Nie mogłam wyrwać się z domu, przyszli Sprusińscy z wizytą do starych. Musiałam podawać kawę, zabawiać ich rozmową, bo ojciec, biedaczysko, nie był na ich ostatniej premierze i trzeba było ratować go przed kompromitacją.

— Zdaje się, że ostatnio nie byłaś w teatrze?

— W końcu na wykładach Stańskiego liznęłam trochę historii teatru. Uważasz, że Sprusińscy mogą w tym przedstawieniu wymyślić coś, czego jeszcze w teatrze nie było? — mówi Joanna.

— Czy przypadkiem ojciec nie kazał ci przed gośćmi recytować wierszyka?

— Michał uśmiecha się ironicznie.

— Nie wygłupiaj się. Gość w dom, Bóg w dom, jak mówi moja matka... a moja — wpada jej w słowo Michał — zawsze dodaje Bóg w dom, pieniądze won.

— Na jedno wychodzi. No właśnie, masz forsę na kawę, bo ja ani dudka? — zmienia temat Joanna.

— Mam tylko cztery złote — Michał spuszcza oczy. — Na jedną kawę starczy.

— Żartujesz? Ja też chcę kawę.

— Myślałem o kawie dla ciebie.

— A ty? W porządku — mówi dostrzegając minę Michała — mam jeszcze złotówkę. Zamów, burżuju, dwie małe, na to nas stać.

Kelnerka ma mocno wymalowaną twarz. Michał już podczas pierwszego spotkania w „Akademickiej" zauważył, że wielu gości zwraca się do niej per „hrabino". Gdy któregoś dnia podeszła do ich stolika powiedział z żartobliwą powagą: Pani hrabino, zamawiam... ale kelnerka ze znieruchomiałą twarzą, patrząc gdzieś ponad jego głowę, przerwała mu w pół słowa: co wolno wojewodzie... a potem spytała, może tylko trochę głośniej niż zwykle: „co podać?"

Michał wiedział, że od tej pory hrabina przestała go lubić, ale nie ignorowała ich obecności, w końcu wolno, diabelnie wolno podchodziła jednak do ich stolika.

— Dwie małe kawy proszę — hrabina raczyła ich zauważyć.

— No i co z tymi Sprusińskimi? Chwaliłaś ich pewnie bez umiarkowania? Czy ona rzeczywiście jest taką dobrą aktorką jak o niej piszą? Właściwie urządziła się baba nieźle, mąż reżyser, dyrektor teatru, kogo ma więc obsadzać w głównych rolach jak nie własną żonę?

— Przecież ona była już znaną aktorką, nim za niego wyszła — zaperza się Joanna.

Joanna dawno już zauważyła, że Michałowi imponują opowieści o znajomych rodziców. Jej ojciec, wzięty malarz, znał rzeczywiście sporo ciekawych ludzi. Z wieloma był zaprzyjaźniony, odwiedzali jego dom, niektórzy nawet bywali dopuszczani do pracowni. Joannę najpierw dziwiły te dyskretne wypytywania Michała, ale później, gdy zauważyła jego autentyczne zainteresowanie sama rozpoczynała opowieści o przyjaciołach i kolegach ojca.

— Dwie kawy, proszę. — Hrabina postawiła przed nimi filiżanki.

— Przecież to są duże kawy, a my zamawialiśmy małe — Michał z przerażeniem spojrzał na Joannę, ale ona spiorunowawczy go wzrokiem powiedziała: — Dziękujemy pani.

— Mogę zabrać — powiedziała hrabina.

— Nie, dziękujemy — Michał próbował ukryć zamieszanie. Gdy odeszła spojrzał na Joannę.

— Naprawdę nie masz forsy?

— A co ty myślisz, że ja bank rozbiłam? Nie mam. W zeszłym tygodniu stara dała mi pięćsetkę, nie mogłam jej znowu naciągać.

— Za tę forsę kupiłaś sobie torebkę.

— Chyba teraz przesadziłeś! Co cię obchodzi moja torebka? Jeszcze nie jesteś moim mężem i nie pozwolę wyliczać się z forsy. Rozumiesz?

— Uspokój się Joanno. Trzeba pomyśleć. Brakuje nam pięciu złotych. Co zrobić?

— To ty myśl. Jesteś mężczyzną. Na całym świecie mężczyźni w lokalu płacą za kobiety.

Michał rozejrzał się po sali. Może pożyczyć od kogoś? Ale od kogo? Czy wypada podejść do któregoś z emerytów i bezczelnie zaproponować pożyczkę?

— Pożyczę — Michał spojrzał na naburmuszoną Joannę. — Od kogo? No, podejdę do któregoś z nich — ręką zatoczył koło po sali.

— No to podejdź — Joanna spojrzała na niego zaciekawiona.

No na co czekasz? Idź.

Opuścił głowę. Chyba nie wypada.

— Słuchaj, Michał, znamy się ponad miesiąc, a ty nigdy nie masz forsy. Jak to jest? Nie możesz ojca poprosić? Masz dziewczynę, zapraszasz ją na kawę i czekasz, aż ona zapłaci. To chyba coś nie tak.

— Prawda, przecież ty masz stypendium! Co z nim? Też ojczulkowi oddajesz? Dobre sobie — zaczęła się śmiać. Fajnego sobie chłopaka znalazłam. Nie ma co.

Michał nawet nie wiedział, jak to się stało, że gdy po raz pierwszy dostał stypendium — położył bez słowa całą kwotę na stole w pokoju. Ojciec przeliczył ją i oddając mu pięćdziesiąt złotych powiedział: — Masz synu, rządź się dobrze, I tak już pozostało.

— Takiego ojczulka ze świecą trzeba szukać — Joanna powiedziała to cicho, ale Michał zerwał się od stolika jak oparzony. — Poczekaj, zaraz wracam.

— O nie, nie zostawisz mnie samej w kawiarni. Zresztą gdzie pójdziesz? Tatusia prosić o pożyczkę? Ty na mnie poczekaj, zaraz wracam. — Upiła łyk kawy i powoli wstała od stolika. Michał patrzył na nią, gdy znikała za brudnymi portierami zasłaniającymi wejście do kawiarni.

Joannę poznał w klubie biblioteki uniwersyteckiej. Michał rzadko zaglądał do tego klubu. Nie miał czasu, uczył się, do biblioteki wpadał raczej tylko po to, aby odnieść przeczytane książki. Już na pierwszym roku studiów utarł się ten jego zwyczaj nauki, nawet czytania obowiązującej lektury, w domu, choćby za cenę dłuższego czekania na wypożyczenie jakiegoś poszukiwanego podręcznika. Ten zwyczaj milcząco zaakceptował ojciec, który zresztą nie lubił, gdy Michał na dłużej wychodził z domu. Tak było do niedawna.

Michał tego dnia właśnie umówił się w klubie ze Zbyszkiem. Gdy usiedli przy stoliku do klubu weszła Joanna.

— Michał spójrz, to jest Śląska — Zbyszek trącił go łokciem — fajna dziewczyna, co?

— Ta? Niczego sobie.

— Chłopie, ty o niej tak obojętnie? Wielu chciałoby się do niej przykleić. Jej stary, no wiesz, ten malarz, dużo znaczy w tym mieście. Niejednego mógłby tu ustawić. Nie bój się, przy niej belferka w szkółce by ci nie groziła. Aśka, chodź do nas — krzyknął, gdy przechodziła obok ich stolika.

— Michał... — przedstawił się niewyraźnie.

— „Mały"? Słyszałam — zaśmiała się. — Powiedz mi dlaczego o tobie mówią „Mały?"

Speszył się.

A było to tak. Po pierwszych zajęciach poszli całą gromadą do parku. W pobliżu uniwersytetu rosło kilka karłowatych drzewek i krzaków. Ktoś postawił ławki i w ten sposób skwerek awansował na park. Nie znali się jeszcze, wielu z nich trafiło na uczelnię wprost z okolicznych miasteczek. Palili, gadali. Zeszło na szkolne przezwiska, nawet nie ich tylko belfrów. Ze zdziwieniem skonstatowali, że przezwiska były podobne w różnych szkołach. Na przykład biologiczkę prawie wszędzie nazywali „kaczką".

Wysoki blondynek powiedział, że w szkole nazywali go „Bladym". Ktoś tam zaciągając się sportem wyznał, że nazywano go „Petem". Kiedy doszło do Michała rozpaczliwie próbował wymyślić sobie jakieś przezwisko. Nic mu nie przychodziło do głowy. Wtedy przypomniał sobie słowa matki rzucone kiedyś na plaży w Ustroniu, gdy wracali z ojcem zmoczeni, z potarganymi włosami z kąpieli. „Jesteście do siebie tak podobni, że muszę was ponumerować: Michał pierwszy duży — wskazała ręką na ojca i Michał drugi mały — pieszczotliwie potargała jego zmoczoną czuprynę. Jak w tej dziecinnej piosence „tańcowały dwa Michały". — Śmiali się, pohukiwali z uciechy, gdy spytany o przezwisko powiedział im o słowach matki. No i tak zostało.

— Chłopcze, wcale nie jesteś taki mały — Joanna zmrużonymi oczami przesunęła po jego sylwetce. Sprawiło mu to przyjemność, przypomniało matkę, która co roku podczas imienin stawia go przy ścianie i coraz wyżej wspinając się na palce zaznacza ołówkiem nad jego głową kreski. „Rośniesz, Misiu, patrz znowu dwa centymetry ponad ubiegłoroczną kreskę. Mamo, daj spokój, przecież wiesz, że mam ponad metr osiemdziesiąt, nie chcę się już mierzyć".

Ale co roku w swoje imieniny stawał posłusznie przy ścianie i cała ceremonia z rysowaniem kreski, z zachwytami matki powtarzała się nieodmiennie.

Joanna nie była ładna. Tylko oczy, jej duże czarne oczy wydawały się naprawdę piękne. Michał nawet powiedział jej to, gdy wyszli z klubu i spacerowali po parku.

— Za bardzo oryginalny nie jesteś. Ślepy by to zauważył. Wysil się trochę i powiedz coś miłego.

Michałowi brakło konceptu i od tej chwili milczał wściekły na siebie. Właściwie nie miał zbytniej ochoty na następne spotkanie, które — musiał to później przyznać — Joanna sama wyznaczyła, nie dopuszczając go właściwie do słowa.

— Pan zamawiał dwie małe, prawda? — Hrabina stała przed jego stolikiem. Państwo już wypili? To ja zabieram.

— Widzi pani przecież, że jeszcze nie wypiliśmy. Poza tym czekam.

— Nie warto już pić, wystygła. Lepiej zamówić świeże. — Hrabina postawiła filiżanki na tacy i odeszła wolnym krokiem w stronę bufetu. Michał był wściekły. Dlaczego nie postawił się ostro, dlaczego pozwolił zabrać kawy. Co powie Joanna, pomyślał w nagłym przestrachu tak podobnym do tego, dziecinnego przerażenia, jaki go jeszcze dopadał, gdy oczekiwał gniewu ojca.

(fragment powieści „Do świtu" przygotowanej dla Wydawnictwa Łódzkiego)

IN DUBIO PRO REO

(Dalszy ciąg ze str. 1)

pokoju odnajmowanego „siostrze gubernatora Fiszera". Opinia Adwentowicza: *Bo wynajęli pokój naczelnikowi stacji Warszawa-Główna, a ten ponoć* (podkr. moje — J. U.) *miał stopień pułkownika.* Wreszcie Ortym: *W sześciopokojowym mieszkaniu Stępowskich, w dwóch zarekwirowanych pokojach mieszkało dwóch wojskowych lekarzy. Jeden Austriak, drugi Włoch...*

Trochę światła do sprawy tak zagmatwanej mógłby wnieść sam Junosza-Stępowski, gdyby zdążył coś powiedzieć przed śmiercią. Szletyński podaje następujący przebieg ostatnich chwil Junoszy (chyba za K. Adwentowiczem?): *Kiedy go zapytano, czy nie chce wydać jakiegoś zarządzenia, kogoś zobaczyć, zapytał: „A co? Tak źle ze mną?" Zawsze tak ufny był wobec życia. Ale kiedy ogarnął już sytuację, powiedział do czuwającej przy nim lekarki: „Niewinnie umieram — przez tę narkomankę".* Cytowany wyżej emigracyjny pisarz włożył w usta umierającego inne słowa: *Jestem winien, ale za surowo mnie ukarano.* Obie te wypowiedzi bardzo pasowałyby Ortymowi, optuje on bowiem na rzecz rehabilitacji zastrzelonego aktora. Niemniej jednak uczciwie stwierdza: *Według relacji wszystkich lekarzy i pielęgniarek, z którymi osobiście rozmawiałem, Junasza-Stępowski zmarł na rękach swojej żony, nie odzyskując przytomności. Poza nieartykułowanymi dźwiękami, jakimiś monosylabami — nie wyrzekł ani słowa.* I w następnym akapicie: *Na pogrzebie było moc osób. Żona Stępowskiego rozpaczała. Prawie bez przerwy powtarzała. „Dlaczego ciebie, Kaziu, dlaczego ciebie!"* Relację z pogrzebu kończy Ortym następującą informacją: istotną dla wydarzeń opisanych niżej: *Po egzekwiach na mogiłę padł z tłumu skromny wieniec z choiny, przepasany biało-czerwoną wstęgą. Kto go rzucił, nie widział nikt.*

Takie są elementy tragicznej legendy Kazimierza Junoszy-Stępowskiego, elementy — jak widać — rozbieżne. Jeden Tymoteusz Ortym podaje wyniki własnych poszukiwań, prowadzonych na gorąco, jeszcze w czasie okupacji. Inne osoby powtarzają wersje zasłyszane.

Co jakiś czas osoby życzliwe pamięci Junoszy-Stępowskiego podejmowały próby skompletowania materiałów mogących posłużyć do zrekonstruowania prawdy o aktorze. Niestety — daremnie. Tak więc Szletyński przypomina: W półtora roku po zakończeniu wojny Sąd Weryfikacyjny Związku Artystów Scen Polskich przystąpił do pośmiertnego postępowania weryfikacyjnego Kazimierza Junoszy-Stępowskiego. Pobudką był ostry list na łamach „Życia Warszawy" (16 listopada 1946 roku) atakujący fakt wyświetlania filmów „Znachor" i „Profesor Wilczur" z tej racji, że na ekranie pojawiał się nasz wielki aktor. List, podpisany przez kobietę „w imieniu grona pracownic w Kaliszu", nie pohamował słów „służalczość", „honor Polaka", „zdrada" i „zdrajca". Przez szerokie pośrednictwo prasy i radia ZASP apelował o nadsyłanie „informacji i materiałów o działalności i zachowaniu się tego aktora w okresie okupacji". Plon odpowiedzi był bardzo wątły, przysłano trochę osobistych poglądów zamiast wiadomości (podkr. moje — J. U.).

Sądzić należy, że Szletyński sięgnął do archiwów ZASP i tam znalazł to tylko, co wymienił. Rzecz dziwna. Tymoteusz Ortym twierdzi, że w marcu 1947 roku, a więc w czasie owej weryfikacji, złożył ówczesnemu radcy prawnemu ZASP, mecenasowi Teodorowi Zaleskiemu, odpisy posiadanych przez siebie dokumentów korzystnych dla weryfikowanego. Tych dokumentów Szletyński nie znalazł. O rok wcześniej Ortym rozesłał do redakcji pism i osób prywatnych memoriał, w którym pisał: *Wszelkimi informacjami o teatrze podczas okupacji służę w każdej chwili. Będzie to materiał prawdziwy, oparty na faktach i dowodach. M. in. posiadam wiarygodne ponad wszelką możliwość dokumenty o niewinnie potępionym i zastrzelonym w kraju Junoszy-Stępowskim.* Między innymi wydrukował to oświadczenie wychodzący w Katowicach tygodnik „Odra" (numer czerwcowy z 1946 r.) i opatrzył je komentarzem, który rzuca światło na trudności w ujawnieniu prawdy o Stępowskim: *Sprawa się gmatwa. Ktoś ją powinien wyjaśnić — chyba ZASP. Niestety ludzie teatru wolą milczeć tajemniczo... A to źle. Bardzo źle. Niezdecydowany stosunek ZASP do tego poważnego zagadnienia sprzyja powstawaniu wersji szeptanych, które mogą tylko zaszkodzić teatrowi.*

A oto co do sprawy wnosi Tymoteusz Ortym, co zaś w roku 1947 widocznie ukryto pod suknem w ZASP-ie. Dziś człowiek ten nie żyje i niewiadome są losy wymienionych przez niego świadków wydarzeń. Nie jest przecież wykluczone, że niektórzy z nich się odezwą.

Po powstaniu Ortym ukrył się w należącym do pp. Jaskłowskich majątku Stobiecko Szlacheckie, odległym pięć kilometrów od Radomia. Wraz z nim ukrywały się tam następujące osoby: Kazimierz Andrzej Czyżewski, autor *Dziwnej ulicy*, późniejszy poseł na Sejm z ramienia SD, Helena Chodysówna, przed prawie 20 laty nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 12 w Poznaniu przy ul. Rutkowskiego, Kazimiera Świechłowa, była tancerka, zamieszkała w latach pięćdziesiątych w Krakowie przy ul. Basztowej 1, Wanda Zarębska, żona artysty muzyka grającego w Wielkiej Orkiestrze Polskiego Radia w Katowicach. Były właściciel majątku Stobiecko Szlacheckie mieszkał w okresie publikowania relacji Ortyma w Poznaniu przy ul. Rokossowskiego 29 m. 19a.

Właściciel był człowiekiem chorym, wobec czego Ortym wyręczał go w pełnieniu różnych gospodarskich funkcji. Chociaż o pięć kilometrów od Stobiecka stacjonowali Niemcy, do majątku często zaglądały różne oddziały partyzanckie, spod różnych znaków, i żądały żywności. W listopadzie 1944 roku zjawił się jakiś „wysoki starszy pan" i zapowiedział przybycie na kwatery dwóch batalionów Wojska Polskiego wraz ze sztabem. Wojsko zjawiło się 10 listopada. Właściciel wydał dla oficerów sutą kolację. Ortym, z tytułu pełnionych funkcji, wszedł do salonu z opóźnieniem, niektóre osoby znały go ze sceny. Witając się, podszedł z wyciągniętą ręką do młodego porucznika. *Wysoki, szczupły, młody oficer powiedział do mnie dobitnie:*

— Nie mogę podać panu ręki!

Krew uderzyła mi do głowy. W salonie zrobiła się denerwująca cisza.

— Co to ma znaczyć? — niemal krzyknąłem.

— Nie mogę podać panu ręki — powtórzył — bo ilekroć poznaję aktora, staje przede mną wyrzut, który mnie będzie gnębił do końca życia. Nie mogę podać panu ręki. Ta ręka zabiła największego polskiego aktora. Niewinnego człowieka!

— Kogo? — zawołałem zdenerwowany do ostateczności.

— Kazimierza Junoszę-Stępowskiego.

Świadkami tego wydarzenia byli: dowódca owego porucznika, noszącego pseudonim „Grot" — major „Lubicz" — oraz wymienieni wyżej rezydenci majątku. Wyjaśnień udzielił Ortymowi major „Lubicz": *Otóż otrzymałem rozkaz KL* (Komórki Likwidacyjnej) *zlikwidowania Jadwigi Junoszy-Stępowskiej, żony naszego sławnego artysty. Przebrałem mych chłopców za pracowników Poczt i Telegrafów i koło południa wtargnęliśmy do mieszkania Stępowskich. Drzwi otworzyła nam służąca, która przerażona podniosła straszny alarm. Z sąsiedniego pokoju wybiegł w szlafroku Stępowski. Zobaczywszy pięciu uzbrojonych mężczyzn, chwycił z parapetu okna kaburę z rewolwerem, wyrwał go i chciał strzelać.*

Wtedy porucznik „Grot" w obronie własnej dał dwa strzały. Trafiony w brzuch Stępowski z jękiem upadł na ziemię. Trwało to wszystko 3—4 sekundy. Krzyk służącej rozlegał się przez cały czas. Nie mogliśmy szukać Stępowskiej... Dałem rozkaz odwrotu. I zdanie z dalszego ciągu relacji: *Wszyscy byliśmy na pogrzebie. Rzuciliśmy na grób wieniec z choiny z szarją narodową.*

W dalszym ciągu rozmowy Ortym wyraził oburzenie, że w jakiejś gazetce konspiracyjnej podano wiadomość, że Junosza-Stępowski zginął „za zdradę". Otrzymał następujące wyjaśnienie:

— Zdawaliśmy sobie sprawę (...) z olbrzymiej krzywdy wyrządzonej pamięci artysty, ale przeważało dobro ogólne.

— Jakie dobro? — przerwałem.

— Gdybyśmy ogłosili, że zaszła pomyłka, zachwialibyśmy wiarę społeczeństwa w nieomylność sądów Podziemia. I dlatego milczeliśmy.

Nieco później Ortym dowiedział się, że w Stobiecku gościła tzw. Brygada Świętokrzyska NSZ.

Przeniósł się następnie do Krakowa. W drugiej połowie grudnia 1944 roku był w restauracji zwanej „Bufetem Starego Teatru". Rozmawiał właśnie z przyjaciółmi, Leonem Łuszczewskim i Władysławem Grabowskim, kiedy podszedł do niego porucznik „Grot" w ubraniu oczywiście cywilnym i podał mu tajną gazetkę: *Była to* — pisze Ortym — *gazeta „Głos Polski". Rok I. Kraków w grudniu 1944. Na czwartej i ostatniej stronie gazety średniego formatu pod tytułem „Kronika Polska" pierwszy artykuł przykuł mój wzrok: „Junosza-Stępowski nie był zdrajcą".*

Czytałem chciwie. Oto dokładny tekst:

Z dobrze poinformowanych źródeł dowiadujemy się: prawdą jest, że sławny aktor polski Junosza-Stępowski zastrzelony został przez wojskową bojówkę, lecz nie jest prawdą, że wykonany został na nim wyrok śmierci. Na śmierć skazany był nie Junosza, lecz jego żona, oskarżona o przywłaszczenie sobie pod pretekstem zwolnienia więźniów polskich pieniędzy i rzeczy wartościowych. Czy Junosza wiedział o machinacjach swej chciwej i rozrzutnej żony, tego nie zdołano ustalić. W każdym razie nikt nie wnosił przeciwko niemu oskarżenia. Przywódca bojówki — nazwisko nie ma nic do rzeczy — będący w randze majora, udał się z kilku żołnierzami Polski Podziemnej przebranymi za robotników Poczt i Telegrafów do mieszkania artysty celem wykonania wyroku na jego żonie. Dostawszy się do mieszkania, zażądał widzenia z żoną aktora. W tej chwili zjawił się Junosza, który prawdopodobnie ze strachu, dobył rewolweru należącego, jak się później okazało, do oficera niemieckiego, mieszkającego w tym domu... Przywódca bojówki wyprzedził Junoszę i zastrzelił go. (Wynikałoby z tego — komentuje Ortym — że zabójstwa dokonał nie „Grot", a major „Lubicz". Ale w takim razie po co ta dramatyczna scena „Grota" w Stobiecku?).

Foto: Archiwum

Wyrok na jego żonie, winnej także pośrednio śmierci aktora, wykonany został dopiero w rok później... Junosza-Stępowski zasłużył najwyżej na naganę, jak inni artyści, którzy obcowali z Niemcami, ale nigdy na karę śmierci.

Wówczas, w grudniu 1944 roku, Ortym po przeczytaniu pozbył się gazetki. Odszukał jednak jej numer po wojnie i treść informacji przepisał. Zapewne i dzisiaj odszukanie go nie nastręczałoby większych trudności.

Jak informuje Henryk Szletyński, grupa aktorów podjęła kolejną próbę rehabilitacji Junoszy-Stępowskiego w roku 1954. Prezydium SPATiF, które patronowało akcji, otrzymało wówczas trzy informacje. Arnold Szyfman oświadczył, że Junosza nie miał nic wspólnego z jego aresztowaniem w roku 1940. Wojciech Brydziński odmówił zeznań, gdyż „nie może nic dobrego powiedzieć o zmarłym kol. Stępowskim". Karol Adwentowicz złożył obszerne zeznanie raczej nie obciążające Stępowskiego, ale będące w znacznej części powtórzeniem cudzych opinii i informacji.

Wydana w roku 1975 książka Henryka Szletyńskiego stanowiła kolejną próbę przełamania milczenia na temat zgonu Junoszy-Stępowskiego. Znów daremną. Przypomnę komentarz z czerwcowego numeru (1946) miesięcznika „Odra": Sprawa się gmatwa. Ktoś ją powinien wyjaśnić — chyba ZASP. Niestety, ludzie teatru wolą milczeć tajemniczo (...). Może w roku 1946 niektórzy milczeli, gdyż woleli, by się przy okazji w ich wojennej przeszłości nie grzebano. Dziś są to sprawy wyjaśnione. W przytoczonym wyżej „Pamiętniku Teatralnym" Marczak wymienia wielu aktorów, którzy grali na scenie „Komedii". Jedynie sprawa Junoszy-Stępowskiego leży odłogiem, co wcale nie przynosi zaszczytu ani środowisku aktorskiemu, ani ZASP-owi. Od trzydziestu pięciu lat przemilcza się sprawę, albo debatuje nad tym, jak oczyścić jednego z największych polskich aktorów z zarzutów, których... nikt nigdy nie sformułował. Jedynym obciążającym go faktem jest ten, że go zamordowano. Absurd! Dokaźi, sztonie wierhlud. W czasie wojny ginęli ludzie, ale instytucje przetrwały. Gdyby istniała jakaś instytucja skazująca artystę, gdyby istniał kiedykolwiek wyrok wydany z mocy prawa, ktoś by to ujawnił. Wydaje się więc, że rewelacje Ortyma (nb. w znacznej części dające się sprawdzić) wyjaśniają wiele. Opierając się na nich oraz na innych przytoczonych tu materiałach, byłbym skłonny stworzyć następującą rekonstrukcję tego, co się wówczas stało.

We wszystkich wersjach tych wydarzeń przyjmuje się nieuczciwe działania żony aktora za pewnik. Natomiast Ortym twierdzi, że kiedy po wojnie próbowano sprawę wyjaśnić, nie zgłosił się nikt z poszkodowanych. Szletyński przytacza jedną jedyną informację podaną przez jakiegoś inżyniera, że Stępowska podjęła się dostarczenia paczki jego synowi do Oświęcimia. *Cała akcja była oszukańcza, nieszczęśliwy ojciec wkrótce potem otrzymał oficjalne uwiadomienie o tym, że syn nie żyje.* Przecież z tego jednego faktu nic nie wynika! Tym bardziej zaś podobna informacja nie mogłaby być podstawą wyroku śmierci.

Toteż, być może, że wydarzenia ułożyły się następująco: wiedząc o nałogu Stępowskiej i związanymi z nim wydatkami, grupa osób mających niezbyt czyste sumienia i ręce nawiązała z nią kontakt handlowy. Stępowska nie dopełniła jakichś warunków wynikających z umowy, postanowiono więc ją zlikwidować w drodze gangsterskich rozrachunków. Nie wykluczam, że ci, którzy strzelali, działali w dobrej wierze. Jeśli zwierzchnik mówi, że zdrajca — to zdrajca. Nieoczekiwanie na drodze stanął im Junosza-Stępowski, doszło do tragedii.

Ortym twierdzi, że wstrząs, jakim dla Stępowskiej była śmierć męża, pomógł jej w opanowaniu nałogu i żyła z wyprzedaży dobytku, zwłaszcza obrazów. Ale gang łatwo nie zapomina. Osiem miesięcy później dokonano aktu zemsty. Twierdzę, że wersja ta w niczym nie przeczy relacji Ortyma. Firma przez niego podana: NSZ — nie budzi zaufania.

Gdyby kogoś rozumowanie to nie przekonało, gdyby wątpił w wiarygodność świadectwa Ortyma, to może dzisiejszy radca prawny ZASP naprawi błąd popełniony przez jego kolegę w roku 1947 i wyjaśni zainteresowanym, że w sprawach wątpliwych sąd przyjmuje za prawdziwe okoliczności korzystne dla oskarżonego.

JERZY URBANKIEWICZ

O I Międzynarodowych Spotkaniach Teatralnych w Warszawie mówi prezes Klubu Krytyki Teatralnej SDP, ROMAN SZYDŁOWSKI

GRAŻYNA KOMPEL: Od 23 maja do 9 czerwca br. pięć warszawskich teatrów użyczyło swych scen ośmiu zespołom zagranicznym, które pokazały łącznie jedenaście przedstawień. Owa prezentacja otrzymała nazwę I Międzynarodowych Spotkań Teatralnych i odbyła się w trzy lata po pamiętnym sezonie Teatru Narodowego w Warszawie w 1973 roku. Czy można mówić o związkach łączących oba te wydarzenia?

ROMAN SZYDŁOWSKI: Oczywiście. Skoro został już przywołany Teatr Narodów, warto chyba przypomnieć, że na Kongresie Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI) w 1973 r. w Moskwie Polska wysunęła propozycję zmiany dotychczasowej siedziby tego od lat z Paryżem związanego, festiwalu i uczynienia zeń wędrownego sezonu Teatru Narodów. Wniosek został przyjęty i Polska została organizatorem pierwszego sezonu Teatru Narodów według nowej formuły.

Jak pamiętamy, sezon Teatru Narodów w Warszawie miał duży rezonans w świecie przyczyniając się do ustalenia rangi polskiego teeatru na forum międzynarodowym.

Ministerstwo Kultury i Sztuki, widząc konkretne rezultaty i uznając potrzebę szerokiej konfrontacji różnych zespołów teatralnych, podjęło trud zorganizowania takiego przeglądu dla naszej publiczności, co więcej, zdecydowało, że należy nadać mu formę stałego biennale.

— G. K.: Jak ocenia Pan repertuar tegorocznych spotkań?

— R.Sz.: Wybór kilku spektakli budził wątpliwości, jak np. „Autobiografii" H. Lovinescu czy „Romulusa Wielkiego" F. Dürrenmatta w wykonaniu Teatru Narodowego z Bukaresztu. Przedstawienia te zostały podobno zaproponowane przez samych Rumunów. Wydaje mi się również, że można było lepiej wybrać spośród teatrów francuskich (oglądaliśmy „Mizantropa" Moliera przywiezionego przez Teatr Narodowy ze Strasburga) czy szwedzkich („Kaukaskie kredowe koło" B. Brechta Teatru Miejskiego z Göteborga). Zawiodły nasze oczekiwania występy eksperymentalnej sceny irańskiej z Teheranu, która pokazała sztukę Esmaila Khalaja „Shabat".

Do bezsprzecznie wielkich spektakli festiwalu, które spotkały się z ogromnym uznaniem publiczności i krytyki, zaliczam „Historię konia" wg L. Tołstoja w adaptacji i inscenizacji M. Rozowskiego, ze znakomitą kreacją A. Lebiediewa Teatru im. Gorkiego z Leningradu. „Pokój" Arystofanesa w reżyserii K. Koun'a Teatru Sztuki z Aten czy przedstawienia hiszpańskiego teatru z Barcelony, zwłaszcza „Yermę" F. G. Lorki z Nurią Espert w roli tytułowej. Jej zespół próbowaliśmy zaprosić do Polski w 1975 r., ale wówczas okazało się to z różnych względów niemożliwe.

Przy okazji warto wspomnieć, że w przyszłości trzeba pomyśleć o zaproszeniu zespołu Petera Brooka, względnie jakiegoś teatru angielskiego z przedstawieniem szekspirowskim. Szkoda, że nie mogliśmy obejrzeć głośnych „Letników" Gorkiego w insc. Petera Steina w wykonaniu Schaubühne am Halleschen Ufer z Berlina Zachodniego. Chętnie zobaczyłbym w Warszawie „Wyspę" A. Fugarda, której premiera odbyła się w Deutches Theater ze stolicy NRD i „Wiśniowy sad" A. Czechowa w reż. Giorgio Strehlera z Piccolo Teatro di Milano.

— G. K.: Jakie są Pańskie postulaty dotyczące organizacji następnych Międzynarodowych Spotkań Teatralnych?

— R.Sz.: Ponieważ mają się one odbyć za dwa lata, sądzę, że już teraz powinniśmy przystąpić do przygotowań. Uważam, że organizatorzy winni uzyskać dobrą orientację w tym co nowego dzieje się w teatrze światowym, a zwłaszcza europejskim. Decyzja kwalifikowania spektakli na następne spotkania musi być poprzedzona ich obejrzeniem z perspektywy polskiego odbiorcy, polskiej myśli teatralnej. Należałoby zastanowić się nad powołaniem komisji złożonej z przedstawicieli MKiS, Polskiego Ośrodka ITI, twórców teatralnych, krytyków, która przygotowałaby dokonanie wyboru. Sądzę, że potrzebne są tu ostre kryteria selekcji, ponieważ festiwal powinien stać na najwyższym poziomie. Taka opinia wyrażona została również na konferencji w Ministerstwie, które przeprowadziło ocenę tegorocznego festiwalu i przygotowało decyzje w sprawie następnego.

— G. K.: Integralną część spotkań stanowiło przygotowane wspólnie przez Polski Ośrodek ITI i Jerzego Grotowskiego Międzynarodowe Sympozjum p.n. „Sztuka debiutanta"...

— R.Sz.: Tak. Referat wprowadzający wygłosił przewodniczący Komitetu Porozumiewawczego Szkół Teatralnych ITI, prof. René Hainaux z Belgii. Wypowiedź swą poświęcił zagadnieniu kształcenia aktora, omawiając różne programy szkół teatralnych. Hainaux niezwykle silnie podkreślił, że dla współczesnego szkolnictwa teatralnego idea kształcenia aktora dla jednego typu teatru nie jest dziś wystarczająca, że nowoczesna sztuka aktorska kształtowana jest w znacznym stopniu przez wpływ socjologii i semiologii. Problemy te powracały często w wypowiedziach dyskutantów.

Następny dzień sympozjum wypełnił Jerzy Grotowski, przedstawiając własny program i zapoznając uczestników z kolejnym etapem swych poszukiwań. Odbiegły one od tradycyjnie pojmowanego teatru, stając się zjawiskiem parateatralnym.

— G.K.: Czy wobec tego uznaje Pan za słuszne włączenie do programu sympozjum wystąpienia Jerzego Grotowskiego?

— R.Sz.: Obrady były poświęcone szerokiemu spojrzeniu na problem kształcenia artysty i sztuki debiutanta z punktu widzenia jego dalszej pracy w teatrze oraz konieczności ciągłego wzbogacania własnego warsztatu twórczego. Ostatnie doświadczenia Jerzego Grotowskiego, choć nie mają bezpośredniego związku z teatrem, dotyczą przecież coraz głębszego samopoznania człowieka, a więc mieszczą się w próbie odnowy czy nawet odkrycia własnego warsztatu aktora.

Nie sądzę, aby obecny etap poszukiwań Grotowskiego miał zasadniczo wpłynąć na kształt dzisiejszego teatru, ale wysiłki twórcy wrocławskiego Laboratorium zmierzające ku powrotowi do źródeł czy poprzednio rozwijana jego metoda pracy z aktorem, nawiązująca do poszukiwań Stanisławskiego, mogą mieć ważne konsekwencje dla teatru. Praca Grotowskiego jest zawsze eksperymentem, drogą w nieznane, odkrywaniem nowych lądów. Należy jej się przyglądać z uwagą. Na oceny i sądy jest chyba jeszcze za wcześnie.

— G. K.: Czy uważa Pan, że sympozjum może przyczynić się do unifikacji różnych programów szkół teatralnych?

— R.Sz.: Sympozjum nie stawiało sobie takiego celu i nie myśle, by unifikacja czy nawet adaptacja była słuszna. Nam zależy na uzyskaniu konfrontacji, na zapoznaniu się z programami rozmaitych szkół teatralnych, poszczególnych ich wydziałów. Taka informacja pozwoliłaby porównać istniejące programy. Znany mi jest radziecki program kształcenia krytyków, który można by wykorzystać np. w warszawskiej PWST na Wydziale Wiedzy o Teatrze. Polski program kształcenia reżyserów wzbudził duże zainteresowanie w świecie i uznawany jest za jeden z ciekawych i bardziej wartościowych. Następne posiedzenie dotyczące programów szkół teatralnych odbędzie się w ramach prac Komitetu Porozumiewawczego Szkół Teatralnych ITI i przypuszczam, że ulepszy stan informacji o ich programach i działalności.

— G. K.: Co w tegorocznych Międzynarodowych Spotkaniach Teatralnych nie podobało się Panu, a co zyskało aprobatę?

— R.Sz.: O minusach wspomniałem omawiając repertuar. Z żalem też stwierdzam, że obecna impreza przyciągnęła zbyt mało krytyków zagranicznych. Na czterdzieści kilka osób zaproszonych z około dwudziestu krajów, najskromniej liczebnie reprezentowani byli krytycy. Zważywszy, że na czas festiwalu repertuar warszawskich teatrów był specjalnie dobierany, należy sądzić, że publiczści teatralni z innych krajów znaleźliby czas, aby obejrzeć także i polskie przedstawienia. Wówczas korzyści dla nas byłyby oczywiste, a polski teatr zyskałby rezonans, jakiego jest godzien. Zbyt mały był także rezonans I Międzynarodowych Spotkań Teatralnych w prasie polskiej.

Natomiast na plus zaliczam to, że udało się zorganizować występy kilku zespołów w innych miastach Polski — w Krakowie, Opolu, Wrocławiu, Poznaniu, Łodzi. Uważam, iż należy to zachować w formule przyszłego festiwalu.

Wysoko oceniam również decyzję dotyczącą stałego organizowania sympozjów. Za dwa lata byłoby dobrze — jak sądzę — uczynić przedmiotem dyskusji współczesną dramaturgię światową, bowiem brak sztuk współczesnych, widoczny w tym festiwalu, daje się we znaki nie tylko polskim teatrom, lecz staje się zjawiskiem powszechnym. Przypuszczam, że szeroka wymiana zdań powinna lepiej przyczynić się do znalezienia przyczyn tego zjawiska, powinna dać odpowiedź na pytanie, co robić, by utorować współczesnym dramatom drogę na scenę.

— G. K.: Czy ma Pan jeszcze jakieś postulaty?

— R.Sz.: Chciałbym powtórzyć własny projekt, który głoszę już od kilku lat. Uważam, że istnieją u nas obecnie dogodne warunki do utworzenia w Polsce międzynarodowego ośrodka myśli teatralnej. Mamy przecież grupę twórców, którzy swe doświadczenia i refleksje zamykają w licznych rozprawach teoretycznych, np. Kantor, Grotowski, Szajna, Braun. Mamy coraz liczniejsze ośrodki teatrologiczne, skupiające utalentowanych teoretyków i historyków teatru, mamy festiwale, publikacje, liczne międzynarodowe kontakty teatralne. Mamy wreszcie Witkacego, którym zainteresowanie za granicą z roku na rok rośnie. **(Roman Szydłowski na jeleniogórskiej sesji witkacowskiej zgłosił propozycję utworzenia Towarzystwa im. Witkacego i rozpoczęcia starań o ogłoszenie przez UNESCO r. 1985, w którym przypada setna rocznica urodzin autora „Szewców", Rokiem Witkacowskim — przyp. G. K.).** Ponadto Polska jest krajem, gdzie możliwa jest wszechstronna dyskusja nad wszystkimi problemami teatralnymi. Czynniki te sprawiają, że utworzenie takiego ośrodka ma szanse realizacji i może jeszcze wydatniej przyczynić się do ugruntowania polskiej myśli teatralnej w świecie. Ośrodek ten byłby konkretnym przykładem urzeczywistnienia tegorocznego hasła „Teatr nie zna granic". Ośrodkiem tym mógłby się stać Komitet Studiów ITI którego sekretariat byłby umiejscowiony w Polsce.

— G. K.: Z historii wiemy, że polski teatr nigdy nie tkwił w izolacji. Znane są gościnne występy cudzoziemskich aktorów, całych trup teatralnych. Czy w decyzji powołania Międzynarodowych Spotkań dostrzega Pan nawiązanie do tradycji?

— R. Sz.: Już w dawnych wiekach występowały w Polsce zagraniczne zespoły teatralne. Na początku XVII w. angielscy aktorzy grali utwory Szekspira w Elblągu i Warszawie, zaś Władysław IV sprowadził do naszej stolicy włoską operę. Wszystkie te wydarzenia wyprzedziły znacznie utworzenie sceny narodowej.

Jednakże między dawnymi a nowymi czasy występuje wyraźna różnica jakościowa. Przedtem teatr nasz wiele czerpał z innych kultur, obecnie sami dużo dajemy światu. Polski teatr zyskał wysoką rangę i w niczym nie ustępuje teatrom innych narodów.

Rozmawiała GRAŻYNA KOMPEL

NADREALIZM Z IMPORTU

Podejrzewam, że pewna ilość widzów telewizyjnych nie obejrzała do końca sztuki Jana Gudmundssona „Symfonia Praska", nadanej w ramach ostatniego Teatru Poniedziałkowego. Być może także część tych, którzy obejrzeli, była rozczarowana, czy nawet zirytowana. Z góry uprzedzam, że osobiście nie solidaryzuję się z takimi reakcjami. Dla mnie spektakl przygotowany przez Zespół Telewizji Gdańskiej w reżyserii i scenografii Michała Hermana należy do ciekawszych pozycji tego rodzaju, jakie zdarzyło mi się oglądać ostatnio w telewizji.

Jeśli ktoś żachnie się, przeczytawszy powyższe, bo sam źle odebrał „Symfonię Praską", to gotów jestem przedstawić sporo argumentów przemawiających za tym widowiskiem. Najprzód trzeba jednak gwoli lojalności stwierdzić, że gdańską „Symfonię" należało koniecznie oglądać w kolorze. Czarnobiała wersja dostarczała uboższych doznań. Nie docierało do widza ważne z semantycznego i estetycznego względu przemieszanie scen zrealizowanych w studiu w konwencji monochromatycznej z sekwencjami filmowymi nakręconymi w plenerze na taśmie barwnej. Zatarcie się tego zróżnicowania na ekranach telewizorów czarnobiałych (a tych wciąż jest jeszcze zdecydowana większość) utrudniało wręcz zrozumienie sensu sztuki Gudmundssona.

Kolor był w tym widowisku kategorią znaczącą, wyróżnikiem tęsknot i pragnień ludzkich, kontrapunktem dla szarej rzeczywistości. Każdorazowe jego pojawienie się na ekranie było otwarciem wrót do krainy urojeń i fascynacji, poetyckim wtrętem, snującym się jak refren piosenki w podświadomości.

Ale to znaczenie zakodowane w wielobarwnym obrazie nie tłumaczy wszystkich zagadek, których dostarczył nam tekst Gudmundssona. Jeśli czyimś podstawowym (a może nawet jedynym) kontaktem ze sztuką jest odbiornik telewizyjny, to zgodzić się trzeba, że z odbiorem „Symfonii Praskiej" mógł ktoś taki mieć trudności. Program artystyczny naszej telewizji, stosujący na ogół klucz realistyczny, w nikłym stopniu przygotowuje do zrozumienia takich utworów.

Inaczej ma się rzecz z tymi, co dbają o szerszy styk ze współczesną literaturą światową i nie ograniczają swych lektur do pozycji realistycznych. Kto czytuje np. książki Julia Cortazara (nazwiska tego wybitnego pisarza latynoamerykańskiego używam tu jako hasła wywoławczego), ten z pewnością nie przeżywał „Symfonii Praskiej" jako utworu dziwacznego, nierozumiałego, czy wręcz bełkotliwego.

Pisarstwo nadrealistyczne, z którego klasycznym przykładem mamy do czynienia w przypadku Gudmundssona, zawiera w sobie wiele przewrotności. To prawda! Sytuacja wyjściowa sztuki ma wszelkie pozory realizmu. Głucha noc, kamienica zatopiona we śnie i nagle z któregoś mieszkania wydobywać się poczynają dźwięki symfonii D-dur Mozarta, zwanej „Praską". Muzyka jest tak głośna, że budzi współmieszkańców i skłania ich do poszukiwania winnego zakłócenia nocnego spoczynku. Znamy takie sytuacje z codziennego doświadczenia.

I nieświadomi zasadzki, jaką na nas gotuje autor, zaczynamy odbierać sztukę Gudmundssona jako scenkę rodzajową, czy obyczajową, niemal jako wesoły skecz. Utwierdza nas w tym szczególnie interpretacja roli Berta przez Stanisława Michalskiego, który tworzy typ prostaka, czy knajaka niemal rodem z Wiecha. Uśpieni w swej czujności nagle zaskoczeni zostajemy brakiem realnego uzasadnienia źródła, z którego płynie muzyka Mozarta. Zbudowany w naszej świadomości rodzajowy obrazek zaczyna pękać i kruszeć.

Chciałoby się krzyknąć w tym momencie: to jest właśnie surrealizm! Owo niepokojące iskrzenie powstałe na skrzyżowaniu łatwo sprawdzalnego realizmu z czymś tajemniczym, nie poddającym się rozumowej analizie. Budulec mający wszelkie cechy dosłowności służy autorowi do wytrącenia nas ze stanu nadmiernego zaufania w stosunku do własnych zmysłów i własnego rozumu. Życie jest o wiele bardziej skomplikowane niż nam się wydaje. W chęci zrozumienia go zadowalamy się łatwo pozorami, zewnętrznością, nie próbując zgłębić istoty, odczytać jego zaszyfrowanych treści.

Nie chcę dawać tu jakiejś uproszczonej próbki zinterpretowania sztuki Gudmundssona. Niewątpliwie jednak autor stara się przekazać nam prawdę o tym, że obok zewnętrzności świata, z którą stykamy się na co dzień, istnieje świat wewnętrzny człowieka, złożony z delikatnej mglistej struktury wspomnień, marzeń sennych, wyobraźni. Nie doceniając tej strony życia ludzkiego, sami zakreślamy sobie na wpół zwierzęce ramy egzystencji.

Metafora wykreowana przez autora, nabierająca jakby cech realności w postaci muzyki emitowanej przez chorego samotnika Hary'ego Olofssona, jest protestem przeciwko nie docenianiu znaczenia podświadomości w życiu psychicznym człowieka. Rzadko uprawiane u nas pisarstwo nadrealistyczne zastąpiła nam telewizja próbką z importu.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Foto: W. Parys

Z CZYM DO TURYSTY

Dalszy ciąg ze str. 1

stą węgierskim. Wiadomo, języki ugro-fińskie nie należą do łatwych i zrozumieć kogoś z Budapesztu czy Miskolca jest rzeczą prawie niemożliwą nawet gdy się ukończy filologię klasyczną. Węgier stał obok swojej „skody" i pokazywał to na siebie, to na swój samochód.

— Pewnie chce benzyny — domyślił się ktoś. — Najbliższa stacja jest w Ciechocinku.
— Może głodny? — wtrącił inny. — Ale co taki czarny może jeść?
— To Włoch, oni żywią się rybami.
— Nie gadaj, przecie widzisz, że to Arab.
— Ale tam, Arab! Widzisz literkę na samochodzie? H — to znaczy Hiszpania.
— Oj, chłopy! — zawołała naraz młoda matka z dzieckiem na ręku. — Przecie chłopak Obarskich uczy się języków!
— Dawać go tu, niech se pogadają.

Ktoś pobiegł wzdłuż zabudowań, trwało to parenaście minut. Węgier częstował mężczyzn papierosami i robił wrażenie zmęczonego. Kilkakrotnie spoglądał na moją „syrenę", ale widać było, że nie oczekuje ode mnie pomocy. Marka mojego samochodu była dla niego w równym stopniu egzotyczna, co on sam dla zebranej gromadki mieszkańców Kujaw.

Wreszcie zjawił się ten, co to się uczy języków. Był to może piętnastoletni chłopiec ubrany dość schludnie, z przestrachem w oczach.

— Zapytaj go, Staszek — popychali go do przodu. — Przecie umiesz.
— Tak po ichniemu!
— Wal, niech wie, że tu naród kształcony!
— Śmiele, śmiele!
Chłopak przybladł, kilkakrotnie się oblizał, w końcu wydusił:
— Zdrastwujtie.
Zebrani czekali w napięciu.
— Zdrastwujtie — powtórzył. — Mienia zowut Stanisław Obarski.

Węgier łypiał powiekami nic nie pojmując z tego co się działo, a już najmniej rozumiejąc słowa zacinającego się wyrostka.

Skończyło się na tym, że po prostu zatrzymaliśmy pierwszą jadącą „skodę" i kierowca Polak pochylił się nad silnikiem Węgra. Po paru minutach obaj odjechali.

— Nie umiesz po hiszpańsku — stwierdzili ci, co przyprowadzili chłopca. — **Czego was uczą w tej szkole...**

Ten obrazek wywołał refleksję natury dużo szerszej. Wzdłuż całej trasy od Łodzi do Gdańska nigdzie nie spotkałem w zakładach gastronomicznych ludzi znających języki obce. Prywatni właściciele wszelkich zajazdów, barów, restauracji i nierzadko mają trudności z mową ojczystą, a co dopiero uczyć się jakiegoś innego języka. Nadal stosuje się niezawodną metodę porozumienia się na migi.

Gdzie naprawić samochód

Toruń. Tu nie ma problemu z posiłkami, natomiast miejsc w hotelach nie ma. Sezon. Tłumy wycieczkowiczów, tłok. Mikołaj Kopernik, jak przystało na gospodarza, wita przybywających gości stojąc. Toruńczycy twierdzą, że wielki astronom wywodzi się właśnie stąd, dlatego też na każdym kroku czuje się pietyzm, z jakim miasto odnosi się do pamięci sławnego Polaka. **Trasa E-16** omija stary gród, biegnie jego oboczem, przez nowoczesne osiedla. Kiedy wyjeżdża się z Torunia, należy ponownie uzbroić się w cierpliwość, bowiem będzie się jechało pustą, wyjałowioną z wszelkich obiektów turystycznych drogą. Do samego **Tczewa**, a jest to, bagatelka, 145 km — nic oprócz zwyczajnych barów w małych miasteczkach serwujących nieśmiertelny gulasz albo zalewajkę na kaszance.

Pomiędzy **Świeciem a Nowem**, na wąskim poboczu (parkingi są także rzadkością i w tym względzie Węgrzy, Rumuni i Bułgarzy biją nas na głowę) stoi samotna „syrena". Właściciel daje rozpaczliwe znaki, ale nikt się nie zatrzymuje, niektórzy kierowcy swój pośpiech sygnalizują włączaniem świateł. Wiem co znaczy awaria samochodu i wiem także co znaczy obojętność rodaków, gdy się potrzebuje pomocy. Zatrzymuję się.

Pękł przegub homokinetyczny. Sprawa poważna, choć nie beznadziejna o ile ma się zapasowy. Niestety, także nie miałem przegubu. A tu deszcz coraz większy, do najbliższej stacji obsługi samochodów kilkanaście kilometrów. Holować nie można, potrzebny hol na podnośniku. Stoimy więc i usiłujemy zatrzymać jakiś samochód i poprosić kierowcę by zgłosił awarię w najbliższej stacji obsługi mającej samochody pomocy drogowej. Mija godzina, półtorej, dwie. W końcu los zsyła samochód pomocy drogowej nadjeżdżający od strony Grudziądza.

— Macie panowie, jakieś części zapasowe do syren? — pytam.
— My tylko holujemy.
— A jeśli pęknie pasek klinowy i kierowca nie ma zapasowego?
— Prowizorycznie można użyć damskiej pończochy.
— No, dobrze. Ale kierowca jest mężczyzną i nie ma pończochy.
— Pasek to by się może i znalazł, ale lepiej wezwać z „Polmozbytu" wóz pomocy drogowej.
— Właśnie. Jesteście taką pomocą i jak wynika z waszych słów, możecie jedynie holować. Przecież winniście mieć ze sobą części zapasowe.
Mężczyźni mają mnie dość. Spoglądają na siebie w milczeniu, w końcu jeden pyta:
— Panie, czy to pański wóz nawalił?
— Nie mój, ale...
— To i sprawa nie pańska. Jak się pan rozkraczysz na drodze, wtedy będziemy dyskutować.
— Daj pan spokój — szepcze do mnie właściciel uszkodzonej „syreny". — **Jeszcze się zdenerwują, a tu zaraz noc, nie będę przecież nocował na drodze.**

Porównałem usługi świadczone przez pomoc drogową w naszym województwie miejskim łódzkim i doszedłem do wniosku, że nie jest u nas jeszcze z tym źle. Natomiast pomoc zmotoryzowanej braci jest jednakowa: obojętność, znieczulica, nieżyczliwość i brak poczucia wspólnoty jest wszędzie taka sama: od Łysej Polany po Jastrzębią Górę. A przecież to także należy do kultury jazdy.

Hieny drogowe

Inny obrazek: na poboczu, właściwie przechylona przez rów, utknęła rozbita „zastawa". Jakiś kierowca, także posiadacz „zastawy", wymontowuje tylne światła z tej rozbitej. Prawdopodobnie kraksa miała miejsce w nocy albo rano, nikogo bowiem przy pozostawionym samochodzie nie ma.

Kiedy zatrzymałem się, kierowca-hiena odkręcał ostatnią już lampę. Jakby odpowiadając na moje zdziwione spojrzenie, powiedział:

— Jemu i tak już nie potrzeba. Z tego wraka nic nie będzie, a jedno tylne światło kosztuje cztery i pół tysiąca.
— Nie sądzi pan, że to niemoralne?
— A co, ja pierwszy to zrobiłem, czy jak? Patrz pan, tu mało co zostało, prawie wszystko zrabowano. O, nawet ktoś wymontował reflektory.
— No dobrze, ale jak pan się czuje w roli, mówiąc delikatnie, złodzieja?
Facet wyprostował się, jego twarz poczerwieniała.
— Spier.... — powiedział nagle. — **Nie będziesz mnie uczyć jak się mam zachowywać i co robić.**

Jeszcze usiłowałem coś mówić o obyczajach, normach moralnych i prawie, ale facet zdenerwował się na dobre i poradził mi bym jechał jak najszybciej, bo nie ręczy za siebie.

I co z tego, że spisałem numer jego „zastawy" i ten numer przekazałem gdzie trzeba. Może działanie, choć być może mające sens doraźny, nie rozwiąże problemu kierowców — hien drogowych. Z podobną sytuacją spotykam się po raz drugi. Jest coś wstrząsającego, a zarazem obrzydliwego, gdy widzi się rabusia, który korzystając z bezkarności dokonuje kradzieży mienia ludzi poszkodowanych przez los. Powie ktoś, że to przypadek sporadyczny, że zjawiska tego typu trafiają się bardzo rzadko, że właściwie kierowcy pomagają sobie wzajemnie. W takim twierdzeniu będzie zaledwie część prawdy. Polacy są życzliwi jedynie poza granicami własnego kraju. Proszę pojechać na południe Europy, trasami prowadzącymi do Grecji, Jugosławii czy Włoch — jakże cieszą się, błyskają światłami, pozdrawiają się wyciągniętą ręką. Sama radość ze spotkania rodaków. A niech ktoś zatrzyma się przy drodze, choćby na tzw. siuśpauze, każdy rodak przyhamuje i zapyta czy czasem coś się nie stało. Słowem wersal. A w kraju? Zresztą, sami wiecie.

Polecam „Malinowo"

Tuż za **Tczewem** — proszę zważyć, że to 306 km od Łodzi — trafiam w końcu na hotel usytuowany tuż przy **trasie E-16. „Malinowo"**, ogromny kompleks Kombinatu Państwowych Gospodarstw Ogrodniczych spełnia rolę motelu dla kierowców i turystów zagranicznych. Położony na terenach należących do Kombinatu, jest jego częścią składową. Szosa E-16 przecina ten kompleks ogrodniczy: po jego jednej stronie stoją w szeregu ogromne szklarnie, po drugiej dwupiętrowy budynek hotelu-restauracji.

Właściwie część gastronomiczna jest nastawiona na potrzeby własnej 200-osobowej załogi Kombinatu, turyści są traktowani niejako w dalszej kolejności, choć nie zdarzyło się, by ktoś nie otrzymał posiłku. W czystej, przestronnej restauracji mieści się 300 osób, w kawiarni — 40, a obok tego stołówka pracownicza. Stale serwuje się tu następujące dania: befsztyk wiejski, kiopsiki wieprzowe, boczek pieczony, pieczeń wieprzowa, żeberka wieprzowe, zrazy wołowe oraz wątróbkę. Ale specjalnością kuchni są potrawy mleczne, ze szczególnym uwzględnieniem dań dla dzieci.

— Nie jesteśmy uzależnieni od przydziałów mięsa — powiedział kierownik hotelu i restauracji JÓZEF MACIĄSZEK — gdyż zaopatrujemy się z własnego gospodarstwa. To sprawia, że turyści chętnie się tu zatrzymują na nocleg, choć mają w pobliżu Tczew czy Gdańsk. Natomiast kuchnia dziecięca, czynna do pierwszej w nocy, zdała całkowicie egzamin praktyczny. Kto dużo podróżuje, ten wie co to znaczy nakarmić w drodze dzieci. Gorzej jest natomiast z miejscami hotelowymi. Praktycznie jesteśmy jedynym hotelem na tej trasie, a chętnych na noclegi są setki. Nie ukrywam, że naszymi gośćmi są w większości Węgrzy, Włosi, Czechosłowacy, czy Rumuni. Polak jakoś tam zawsze znajdzie sobie nocleg, natomiast obcokrajowcy są w Polsce bezradni.

„Malinowo" słynie z dobrej kuchni. Napotkani cudzoziemcy bardzo sobie chwalili menu, a szczególnie polski bigos. Jest to zasługa ośmiu kucharzy i ich pomocników. Dla podniesienia atrakcyjności posiłków zatrudniono tu cukiernika i garmażera.

Pomyślano także o samochodach: dwa parkingi, osobny dla samochodów osobowych i osobny dla ciężarowych. Dużo kwiatów, klombów, zieleni. No i wspomniana już przedtem zaleta — hotel usytuowano tuż przy drodze. Nie sposób nie zauważyć go i pominąć.

Tak więc **„Malinowo"** jest jedynym miejscem, gdzie można zanocować i dobrze zjeść na tej długiej, smutnej i monotonnej trasie. Co prawda zaraz w **Łęgowie** jest bar **„Złote łany"**, gdzie podaje się żurek, bigos, golonkę, a nawet smażonego pstrąga, jednakże jest to zwyczajny bar, jakich setki spotyka się w małych miasteczkach i wsiach. Nic tu nadzwyczajnego: prosta izba, stoliki, bufet.

Trochę dalej, w **Pszczółkach**, za pasem przydrożnej zieleni stoi wiatrak, w którym ulokowano kawiarnię. Żenujący jest zestaw napojów i ciast. Pepsi, herbata (w kolorze słomy), kawa (brązowy płyn o dziwnym zapachu), a także różne, nie pierwszej świeżości petit-buerry. No i oczywiście wina, dużo, choć marki pospolite, w większości krajowe jabcoki. Ale sam pomysł z kawiarnią dobry, a gdyby właściciel przejawił więcej inicjatywy i inwencji — **„Kawiarnia pod wiatrakiem"** byłaby nie lada atrakcją. Owszem od czasu do czasu skręca pod wiatrak jakiś samochód, lecz pasażerowie zorientowawszy się w znikomym wyborze napojów i ciastek szybko odjeżdżają.

Pomiędzy **Tczewem a Gdańskiem** (raptem 33 km) jest więcej przydrożnych barów obliczonych na turystów zmotoryzowanych niźli na całej trzystukilometrowej trasie od Łodzi do Tczewa. Ktoś dobrze pomyślał i to myślenie przyniosło konkretne wyniki.

Wnioski

Raczej niewesołe. Ma się wrażenie, że jeśli chodzi o obsługę turystyczną, to pozostaje ona u nas ciągle w powijakach. Próbuje temu zaradzić sektor prywatny, lecz działanie to nie wychodzi poza skromne dania gastronomiczne. Nie ma natomiast przy głównych trasach tak popularnych gdzie indziej zatoczek — parkingów z wodą bieżącą, gdzie turysta mógłby się zatrzymać, zagotować sobie herbatę lub zwyczajnie się umyć. Nie ma pól namiotowych, campingów z prawdziwego zdarzenia z domkami i parkingami, nie mówiąc już o motelach. Motoryzacja, a przede wszystkim turystyka motoryzacyjna staje się coraz bardziej dochodową gałęzią gospodarki, ale jak dotąd nie zadbano o wykorzystanie tego faktu.

Sprawa nie mniej ważna: stacje obsługi samochodów lub bodaj warsztaty naprawcze. Ciągle jeszcze jedynym dostępnym mechanikiem na trasie pozostaje wiejski kowal. Zmotoryzowany turysta jest bezradny na naszych międzynarodowych trasach, bowiem coś tak oczywistego jak informacja praktycznie nie istnieje.

A może nie jesteśmy przygotowani do zjawiska jakim na świecie jest turystyka samochodowa?

EUGENIUSZ IWANICKI

Foto: W. Parys

ZBIGNIEW S. NOWAK

BIZNES NA KÓŁKACH

Jaki jest stan na dzień dzisiejszy naszej „prywatnej" automotoryzacji, jak przedstawia się sytuacja z punktu widzenia aktualnych posiadaczy i potencjalnych amatorów czterech kółek?

Problemów nie brak. Brak bowiem ciągle dostatecznej liczby samochodów dla wszystkich chętnych, brak garaży, parkingów, autostrad i jezdni o dobrej nawierzchni, kultury motoryzacyjnej itd. Przede wszystkim zaś permanentnie brak części zamiennych do autowehikułów wszystkich chyba marek, zwłaszcza krajowych.

Części nie ma i to jest chyba największy obecnie nasz motoproblem. Nie ma ich przede wszystkim tam, gdzie bezwzględnie powinny być, mianowicie w placówkach „Polmozbytu". Ale za to „Polmozbyt" ma monopol na dystrybucję i sprzedaż owych części. W tym sęk! „Polmozbyt" ma bowiem również, jak się wydaje, monopol na kompletną indolencję w kwestii części zamiennych.

Rzecz to niepojęta, choćby z racji ekonomicznych, jako że handel częściami zamiennymi to czysty zysk, sięgający niekiedy 300 proc. **„Polmozbyt"** jednak wyraźnie odżegnuje się od zysku na częściach i handlu tymiż.

Złośliwi twierdzą, chyba nie bezpodstawnie, iż jest to z jego strony perfidna akcja mająca na celu powstrzymanie i ukrócenie zbyt wybujałych zapędów i ambicji motoryzacyjnych Polonusów. Zwłaszcza tych największych rzesz gustujących w „maluchach". Faktem jest, że najbardziej brak części właśnie do nich. Wobec takiego stanu rzeczy kupujący zwłaszcza „maluchy" wykazują równie wielką odwagę co brak rozsądku.

Mimo wszystko ludziska znajdują jakieś wyjście z tej niezmiernie kłopotliwej sytuacji. Gdzieś te cholerne części zamienne kombinują. Gdzie? Oczywiście w tzw. sektorze prywatnym. Póki co — to jedyna możliwość

KTO SMARUJE — TEN JEDZIE...

Właściciele prywatnych warsztatów samochodowych nie mają żadnego monopolu. Ale za to mają części zamienne do wszystkich chyba marek i rodzajów motowehikułów. Skąd, u diaska, skoro brak ich nawet w sklepach „Polmozbytu"? Ano, głównie z tych sklepów właśnie! Brzmi to cokolwiek nieprawdopodobnie, ale to najprawdziwsza prawda. Jakże więc jest to możliwe?

Ano tak! „Polmozbyt" w rzeczy samej ma jednak sporą ilość części zamiennych, bo wreszcie przecież się je produkuje. Ale kiedy tylko owe części trafią do sklepów, to już jakby ich nie było. Na etapie sklepów bowiem dystrybucja przechodzi w redystrybucję, z racji ekonomicznych właśnie.

Po co sprzedawać części na sztuki i po cenach detalicznych, skoro można je „opylić" po cenach z zyskiem ponad normę, a w dodatku hurtem? A komu? Ano właśnie właścicielom prywatnych warsztatów samochodowych. Tak się dzieje dosyć powszechnie, a nieliczne wyjątki tylko potwierdzają regułę.

„Prywaciarze" przepłacają, ale to i tak im się opłaca. Oni i tak swój haracz ściągną, od klientów oczywiście. A klientów im nie brakuje, pomimo czarnorynkowych cen, ponieważ powszechnie brak części. A części brak, bo...

Czasami, choć rzadko, znajduje się „wyjście" z tego błędnego koła. Może nieco dziwne, ale zawsze... Kiedyś pewien mój znajomy literat długo i bezskutecznie poszukiwał zwykłych świec do swojej „Syreny". Nie było ich nigdzie. Wreszcie po długich zabiegach i biegach trafił na przedmiot swych marzeń.

AUTOMOTOGRANDA

Bywają czasami sytuacje, że pewne autoklamoty są nieosiągalne, w żaden mniej czy bardziej legalny sposób. Nie ma ich nigdzie, bo chwilowo zaniemogła produkcja i wszelka dystrybucja. Ale i w takich sytuacjach prywatni „servicowcy" jakoś sobie radzą, przynajmniej niektórzy.

Nie ma reflektorka do „malucha"? Cóż, jak się da, to się jakoś załatwi. Po odpowiedniej cenie oczywiście. Od cwaniaczka złodziejaszka. Taki tylko przemknie się koło pierwszego lepszego „dzikiego" parkingu i już jest reflektorek, albo jeszcze coś. Ma reflektorek cwaniaczek, ma „servicowiec", ma klient. Przy okazji warsztat ma nowego klienta od reflektorka, bo przecie ów okradziony też gdzieś musi ten drobiazg załatwić. Tak się kręci to poczwórne błędne koło, istna automotogranda, o czym doskonale wszyscy wiedzą.

Tylko w ubiegłym roku MO odnalazła i zwróciła właścicielom 1334 skradzione samochody, najczęściej w mocno niekompletnym stanie, ogołocone z czego się dało. Wykryto także wiele działających nielegalnie warsztatów samochodowych.

Ilu jednak samochodów nie odnaleziono? Tego nie udało mi się dowiedzieć, bo to ponoć tajemnica państwowa. Sporo jednak takich przypadków być musi, skoro w prasie co rusz trafiają się ogłoszenia okradzionych, którym „czar czterech kółek" prysnął sprzed bloku. Byli właściciele zdematerializowanych nagle pojazdów zawiadamiają o kradzieży tychże i proszą rozpaczliwie o pomoc: „Ktokolwiek... itd". Próżne to jednak wołania!

Skradzione pojazdy „rozmieniają się" na drobne części zamienne i w kawałkach zmieniają właścicieli, najczęściej w prywatnych warsztatach naprawczych. Czasem w warsztatach działających nielegalnie. Wędrują w teczkach domokrążnych „servicowców". Idą na zbyt na bazarach.

Wtajemniczeni twierdzą, że już u nas działają doskonale zorganizowane gangi samochodowe, na wzór zachodnich. Mówi się też, że i w Łodzi działa od kilku już lat taki automotogang, z „centralą" podobno na Teofilowie. Podobno łódzcy złodzieje handlują kradzionymi częściami, a nawet całymi pojazdami w całym kraju. Podobno najintensywniej na Wybrzeżu i Śląsku, gdzie z Łodzi wędrują największe partie chodliwego towaru. Podobno też łódzcy motozłodzieje wymyślili ostatnio wielce oryginalną metodę sprzedaży kradzionych części, czy nawet całych podzespołów, przez ogłoszenia prasowe. Np.: „Sprzedam kompletny silnik i skrzynię biegów do Fiata 125p po niewielkim przebiegu".

Tak się kręci ten „biznes na kółkach". Rozkręca się coraz bardziej, bo jest „zapotrzebowanie" i okazji niemało. Tylko w Łodzi parkuje „dziko" ponad 40 tys. samochodów, bez żadnego solidnego zabezpieczenia, pod gołym niebem. A okazja, wiadomo, kusi złodzieja. Tym bardziej jeśli można przy tej okazji sporo zarobić.

* * *

Jakie jest wyjście z tej wielce skomplikowanej i kłopotliwej sytuacji? Może by tak skorzystać z jakiegoś dobrego rozwiązania, wypróbowanego i stosowanego z powodzeniem gdzie indziej? Taki np. „Rolls-Royce" części zamiennych w ogóle nie „prowadzi", a mimo to nikt jakoś nie narzeka na ich brak. Jak oni to robią?

Listy do Redakcji

„WARIACKIE PAPIERY"

W nawiązaniu do artykułu „Wariackie papiery", który ukazał się w tygodniku „Odgłosy" z 2. VII. wyjaśniamy, że orzekanie o inwalidztwie u chorych na choroby psychiczne było zawsze przedmiotem szczególnej troski Oddziału Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi. Dowodem tego jest fakt powołania specjalistycznych komisji lekarskich d/s inwalidztwa i zatrudnienia orzekający o inwalidztwie u chorych na choroby psychiczne. Pracują w nich lekarze psychiatrzy, legitymujący się długim stażem lekarskim i orzeczniczym, spełniający odpowiedzialne kierownicze funkcje w lecznictwie psychiatrycznym. Stwarza to dostateczne przesłanki do wysnucia wniosków, że orzekanie o inwalidztwie u chorych na choroby psychiczne jest prawidłowe i zgodne ze współczesnymi wymaganiami wiedzy lekarskiej.

Podobnie ma się sprawa z Ob. Jerzym F. Jest ona od przeszło 3 lat przedmiotem szczególnej troski i starań Oddziału. Niestety nie została do tej pory rozwiązania w sposób rzeczowy właśnie z powodu stanowiska Jerzego F. Fakty te są nastepujące:

28 sierpnia 1973 roku Prokurator Wojewódzki wystąpił do Kuratorium Okręgu Szkolnego w Łodzi z zaleceniem poddania Jerzego F. badaniu lekarskiemu, ponieważ jak wynika z pism, które od dłuższego czasu nadsyłał do prokuratury, mogą mieć miejsce u niego zaburzenia psychiczne (jedno z takich pism znajduje się w aktach ZUS). Jerzy F. obwiniał w nim sąsiadów o zakłócenie jego prawa do pracy i wypoczynku przez „wiercenie w głowie, szepty, pełzanie po skórze, pękanie żarówek, włączanie obcych głosów, ostre zapachy itp." Kuratorium Okręgu Szkolnego 4 września 1973 wystąpiło do ZUS z wnioskiem o zbadanie Jerzego F. Z pisma podpisanego przez Kuratora wynika, że Jerzy F. od roku 1969 leczył się w Poradni Zdrowia Psychicznego i że stan jego zdrowia nie pozwalał na kontynuację pracy nauczyciela. 19 września 1973 r. Jerzy F. został zbadany przez Obwodową Specjalistyczną Komisję Lekarską d/s Inwalidztwa i Zatrudnienia nr 1 w Łodzi. Komisja ta na podstawie dokumentacji lekarskiej z Poradni Zdrowia Psychicznego stwierdziła, że od roku 1968 jest on podopiecznym tej Poradni z powodu choroby psychicznej (schizofrenia urojeniowa) natomiast w okresie od 1969 do 1973 r. zgłaszał się do Poradni sporadycznie jedynie na wezwanie, nie używał leków. W roku 1973 z powodu zaostrzenia dolegliwości psychicznych Jerzy F. został skierowany na oddział psychiatryczny w celu leczenia, na co nie wyraził zgody. Komisja potwierdziła istniejące u Jerzego F objawy schizofrenii urojeniowej i zaliczyła go do II grupy inwalidów. Od powyższej decyzji odwołał się on do komisji wojewódzkiej, w skład której wchodził także lekarz psychiatra. Komisja wojewódzka zatwierdziła orzeczenie komisji obwodowej. Należy w tym miejscu podkreślić, że komisje w swym orzekaniu oparły się nie tylko na jednorazowych wynikach badania, ale także na dokumentacji chorobowej z Poradni Zdrowia Psychicznego. Fakt rozpoznania choroby psychicznej był doskonale znany Jerzemu F. od roku 1968 i nie mógł stanowić dla niego żadnego „zaskoczenia".

Od powyższego orzeczenia Jerzy F. złożył odwołanie do Działu Orzecznictwa Inwalidzkiego ZUS w Warszawie. Dział Orzecznictwa po zapoznaniu się z aktami sprawy, wobec zarzutów, że lekarze psychiatrzy w Łodzi wykazują „złośliwość i stronniczość" w sprawie polecił zbadanie Jerzego F. przez komisję d/s inwalidztwa i zatrudnienia w Warszawie i na to badanie rencista nie zgłosił się.

Zamiast tego Jerzy F. zaskarżył decyzję ZUS w Okręgowym Sądzie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi. W trakcie postępowania sądowego został zbadany przez dwóch lekarzy biegłych psychiatrów w Łodzi, a następnie wobec zarzutów co do ich obiektywizmu przez 2 lekarzy psychiatrów w Warszawie. Wszyscy biegli lekarze psychiatrzy rozpoznali u Jerzego F. objawy schizofrenii urojeniowej. Sąd wobec zarzutów co do orzeczenia biegłych skierował go na obserwację do Instytutu Psychoneurologicznego w Pruszkowie. Także na tą obserwację szpitalną rencista nie zgłosił się.

Od tego czasu Jerzy F. składał liczne skargi w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi. Na wszystkie skargi otrzymywał zawsze obszerne, wyczerpujące rzeczowe odpowiedzi. Składał także skargi w Prokuraturze Generalnej, Sądzie Najwyższym, u rzecznika d/s Służby Zdrowia, w zespole poselskim, u Prezydenta m. Łodzi, redakcjach czasopism itp. Wszystkie instytucje po zapoznaniu się z aktami sprawy uznawały ją za załatwioną poprawnie.

Jerzy F. od 3 lat uchyla się od poddania badaniu lekarskiemu specjalistycznemu, uporczywie odmawia obserwacji szpitalnej i w ogóle nie leczy się. Zgodnie z obowiązującymi w naszym państwie przepisami do orzekania w sprawie zdolności do pracy powołane są jedynie komisje lekarskie d/s inwalidztwa i zatrudnienia ZUS. Od 3 lat nie chce poddać się badaniu specjalistycznemu komisyjnemu i nie zgadza się na obserwację szpitalną. W tej sytuacji komisje lekarskie d/s inwalidztwa i zatrudnienia nie mogą się wypowiedzieć o jego przydatności do pracy. Jedyna możliwość oceny stanu zdrowia Jerzego F., także pod kątem ewentualnej poprawy stanu zdrowia, zaistnieje jedynie tylko wtedy, gdy podda się takiemu badaniu.

Ze względu na stawiane zarzuty rzekomej złej woli lekarzy psychiatrów w Łodzi, Zakład był zawsze gotów wyjednać badanie Jerzego F. na komisjach lekarskich d/s inwalidztwa i zatrudnienia poza Łodzią np. w Warszawie czy Krakowie.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi — Jerzy F. wobec nie poddawania się badaniu specjalistycznemu powinien mieć od 3 lat zawieszone prawo do pobierania renty. Z przyczyn humanitarnych Zakład tego jednak nie uczynił mając na uwadze jego sytuację materialną i konieczność egzystencji. Jeżeli jednak Jerzy F. w dalszym ciągu będzie odmawiał poddania się badaniu Zakład będzie zmuszony w przyszłości rozważyć także i tę ewentualność.

Wydaje się, że właśnie ZUS w sprawie tej wykazał jak najwięcej starań aby sprawa była załatwiona zgodnie z normami etyczno-moralnymi. Kategoryczne twierdzenie piszącego artykuł, że Jerzy F. nie jest chory psychicznie, nie znajduje potwierdzenia dowodowego, fakt ten mogą ustalić tylko kompetentni w tej mierze lekarze orzecznicy, specjaliści psychiatrzy, po ponownym zbadaniu rencisty lub obserwacji szpitalnej. Należy podkreślić, że w artykule została naruszona ważna zasada tajemnicy lekarskiej. To co powinno znajdować się wyłącznie w dokumentacji lekarskiej zostało w nim ujawnione. Ponadto jest w nim mowa nie tylko o rozpoznaniu choroby jaką stwierdzono u Jerzego F., ale używa się gwarowych słów na określenie choroby psychicznej w rodzaju „wariat".

Oddział Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Łodzi podkreśla, że Zakład nie jest zainteresowany w tym, czy w ten czy inny sposób wyrządzać Jerzemu F. „krzywdę" i naruszać „normy etyczno-moralne". ZUS musi stać jednak na stanowisku poprawnego, sprawiedliwego i zgodnego z ustalonym stanem rzeczy orzekania o zdolności do pracy. Najlepszą pomocą dla Jerzego F. byłoby wyjednanie u niego zgody na przeprowadzenie badania specjalistycznego lub obserwację szpitalną. —

ANIELA GRODZKA
dyrektor

* * *

Odpowiedź Zakładu Ubezpieczeń Społecznych jest wielce symptomatyczna Przede wszystkim demonizuje i absolutyzuje chorobę psychiczną jako schorzenie nieuleczalne, które raz na zawsze degraduje osobowość ludzką. Tymczasem nawet pojęcie normy psychicznej jest czymś niesłychanie trudnym do określenia. W interesującej sprawie istotna wydaje mi się opinia profesora Tadeusza Bilikiewicza: „...mgr Jerzy F., lat 44, nie wykazuje żadnych zaburzeń, które by mu uniemożliwiały lub utrudniały pracę zawodową profesora Liceum w zakresie historii. Młody ten pracownik jest zdolny i doświadczony jako pedagog i czuje się bardzo pokrzywdzony przeniesieniem go w stan spoczynku". I o tym Zakład Ubezpieczeń Społecznych zdaje się zapominać zasłaniając się fałszywym pojęciem humanitaryzmu, który utożsamia chyba z jałmużną.

W naszym ustroju, który na naczelnym miejscu stawia dobro człowieka i obronę jego godności, słuszniej jest chyba realizować zasadę humanizmu socjalistycznego, który nakazuje walczyć o resocjalizację jednostki. A to można osiągnąć tylko przywracając Jerzego F. w prawach pracownika. Wyrzucony poza burtę, skazany na przedwczesne inwalidztwo, będzie tylko ciężarem, choć jego postawa, kwalifikacje zawodowe i upór, z jakim walczy o konstytucyjne prawo do pracy wskazuje, że jest człowiekiem wartościowym społecznie. I bezczynność powiększa tylko poczucie jego krzywdy.

I przeciw temu jako dziennikarz starałem się zaprotestować.

KONRAD FREJDLICH

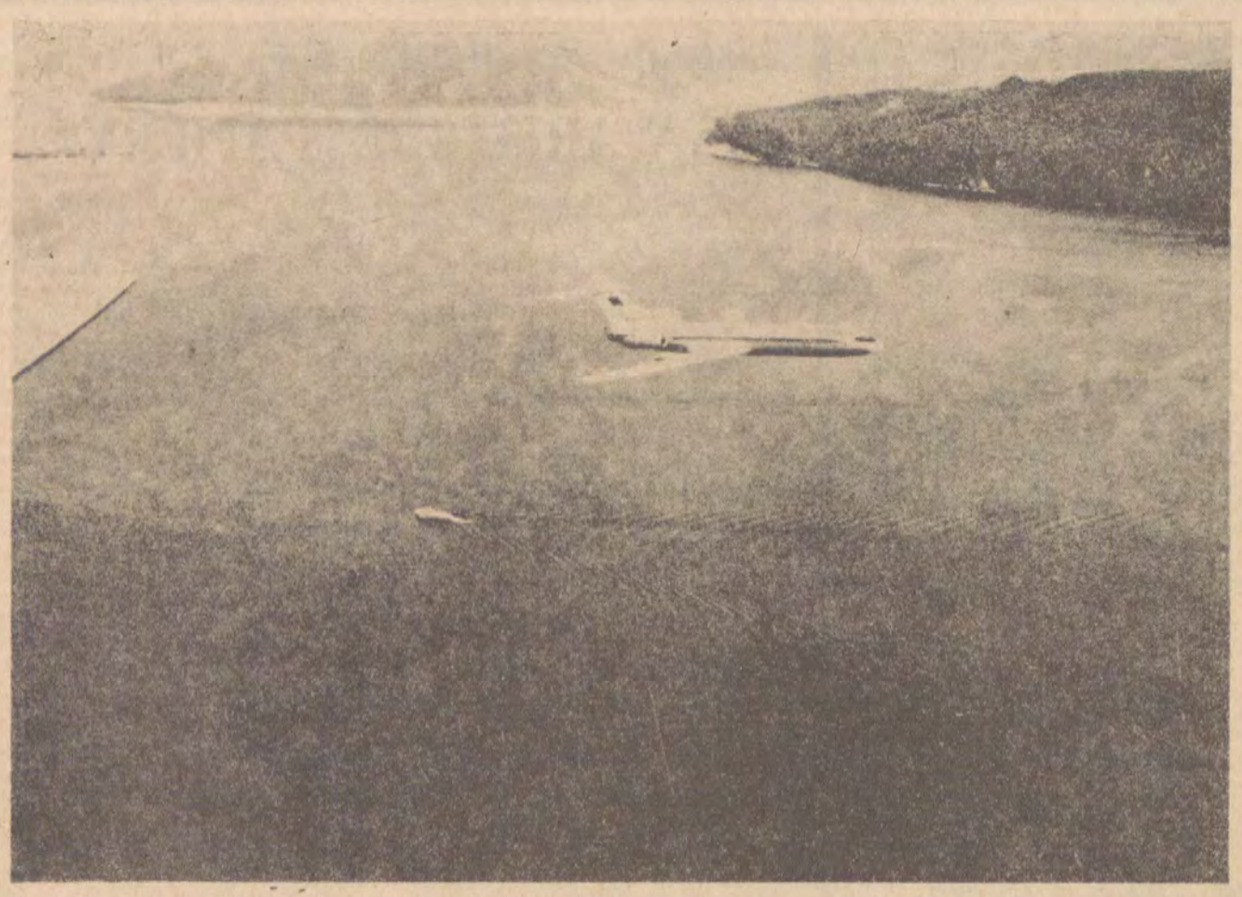

JAN BĄBIŃSKI

NAD AMUREM

— Czech? — zapytał.

Przyjrzałem mu się uważniej. Wysoki, smukły o pociągłej twarzy i ostrych, wyrazistych rysach, był jednym z tych Rosjan, którzy tak mnie zaskoczyli w Chabarowsku już pierwszego dnia. Cóż to za wspaniały szczep, pomyślałem, tak dorodnych dziewcząt nie widać nawet w Moskwie. Blondynki. Tak, co druga z tych dziewcząt miała jasne włosy i wiotką, w pasie wciętą figurę. Co drugi mężczyzna był wysokiego wzrostu, miał niebieskie oczy i bary zawodowego atlety. Z tych oczu biła wrodzona inteligencja. Z każdego ruchu biła siła i pewność siebie.

— A wy Sibiriak? — odpowiedziałem pytaniem.

Głośno się roześmiał.

— Sibiriak? Skądże, ja „Dalnowastocznik" — i nieoczekiwanie zaproponował.

— Mów do mnie Sasza.

Prawda, zupełnie o tym zapomniałem. Chabarowsk to istotnie już Daleki Wschód. Syberia, to znów ta część przeogromna Kraju Rad, która leży między Uralem i górskimi łańcuchami tworzącymi na Wschodzie potężny dział wodny. Wszystko co schodzi z tych gór w kierunku Morza Japońskiego to już radziecki Daleki Wschód. Więc nie Syberią a Dalekim Wschodem jest zarówno Półwysep Czukocki, Kamczatka, nadmorski kraj z Władywostokiem jak obwód amurski i kraj chabarowski.

— Jestem z Polski — powiedziałem.

— Macie dobrych futbolistów — oświadczył Sasza.

— Polacy już grali? — spytałem. Musiałem o to zapytać. Przez niemal dwa tygodnie jeździłem po północnej Korei i nigdzie nie mogłem tam wyłowić najdrobniejszej nawet wzmianki o „Mundialu" i Argentynie.

— Przegraliście 0:2 z Argentyną i wygraliście 0:1 z Peru — odparł Sasza.

Widocznie nie miałem w tym momencie zbyt wesołej miny, bo szybko dorzucił.

— Cóż chcesz, jesteście w pierwszej ósemce świata czy nie jesteście? Z Argentyną graliście „wielikaliepno", naprawdę, czestne słowo, to był dopiero mecz, dawno czegoś takiego w telewizji nie oglądałem. Lato, Tomaszewski, wcale nie byliście w tym meczu gorsi. Deyna nie strzelił karnego.

Sasza zaczął rozwodzić się o naszej drużynie z coraz większym zapamiętaniem. Słuchałem go z rosnącą ciekawością. Zdumiewało, że znał nazwiska wszystkich graczy całej naszej ekipy. Wiedział o Polsce wiele, choć nigdy u nas nie był. Później miałem się przekonać, że nie on jeden jest tak oczytany. Ostatecznie w Chabarowsku mieści się 16 szkół technicznych i 8 wyższych uczelni. W szkołach średnich i wyższych uczy się 60 tysięcy młodzieży. Chabarowsk ma liczne muzea, ma teatry, ma 20 kin i ma wiele innych rzeczy, których nie ma niejedno miasto tej wielkości w zachodniej nawet Europie. Ten współczesny Chabarowsk, to półmilionowe, tętniące życiem miasto, o silnie rozbudowanym przemyśle.

Sasza opowiadał o Polsce, piłkarzach, o rybach w Amurze i swej łódce, co spoczywała pod nami na piaszczystym brzegu rzeki. Popadałem w coraz większe zamyślenie. Jakże powypaczane są czasem nasze wyobrażenia o Syberii i tym dalekim nadamurskim obszarze. Dla wielu to prawie koniec świata. To pustosz i martwota. Dzikość przyrody i zabójczy klimat. Jakież to bzdury — wszystkie te wyobrażenia. Rosjanie przekształcają te ziemie od wielu lat w kwitnące rejony rozwiniętej gospodarki. Przenieśli jakby Europę z całym jej kulturalno-technicznym dorobkiem na bezludne niegdyś rejony Dalekiego Wschodu.

Staliśmy z Sasza przy latarni zawieszonej nad Amurem na skalistym wysokim wzniesieniu.

Roztaczał się stąd rozległy widok na wszystkie strony świata.

Miasto rozłożyło się na kilku przylegających do siebie wzgórzach. Najciekawszy jest Chabarowsk z tych pierwszych pionierskich czasów. To drewniane domki, rzeźbione w drzewie, z nieosiągalnym już dziś nigdzie mistrzostwem. Jeszcze się ostały. Stoją w rozległych ogrodach na wzgórzach schodzących stromo ku Amurowi. Cóż to za cudowne budynki. Ile w nich wdzięku, harmonii, ile autentycznej sztuki ludowej i artystycznego naprawdę rzemiosła. W tych stylowych malowniczych domkach kryje się całe zamiłowanie Rosjan do drzewa i do lasu. I dziś jeszcze rdzenni moskwiczanie o niczym tak nie marzą w głębi swej duszy, jak o drewnianej własnej daczy na leśnej polance. Ten nowy Chabarowsk jest budowany z rozmachem, ze stali i z betonu.

— Karobki i karobki — roześmiał się Sasza. — Pudełka i pudełka. Jedne niższe, drugie wyższe, a wszystkie do siebie podobne jak dwie krople wody. Tylko pytanie, jak budować dziś inaczej, żeby budować równie szybko i nowocześnie.

W dole pod nami, szumiał Amur.

To dziś wielki szlak wodny, po którym pływają swobodnie wielkie nawet transportowce. Więc do Chabarowska można się dostać statkiem, można tu doleciec samolotem i można dojechać transsyberyjską koleją. Z Moskwy leci się do Chabarowska 8 godzin. Z Pekinu mniej więcej 3 godziny. Wpierw samolot przecina żyzne równiny, potem przelatuje nad górskimi łańcuchami wreszcie, trzymając się blisko lądu, leci nad Morzem Japońskim. W końcu gwałtownie skręca w lewo, biorąc poprzez tajgę bezpośredni kurs na Chabarowsk. Dzień był pogodny, słoneczny, lecz częściej w tych stronach przyziemnej zasłony gęstej mgły...

Dopiero z lotu ptaka pojąłem czym jest tajga. Jest bezludnym, pagórkowatym częściowo bagnistym i nieprzebytym bezkresem porośniętym skotłowanym i gęstym lasem iglastym. Nie się nie widzi na przestrzeni tysięcy kilometrów, tylko ten leśny bezkres. Ni drogi, Ni osiedla. Nic, tylko ta przejmująca pustosz.

— O Chabarowie coś wiesz? — zapytał Sasza patrząc na mnie badawczo.

— Wiem, że był tu jako jeden z najpierwszych.

— Przy pomniku byłeś?

Skinąłem głową. Owszem, byłem tam i dumałem. I długo wpatrywałem się w kamienny posąg tego syberyjskiego konkwistadora. Co my wiemy o tych odważnych do szaleństwa Rosjanach? No tak, o tym, że Hiszpanie przedzierali się przez piekielne dżungle i niebotyczne skaliste szczyty w pogoni za złotem Majów, Inków i Azteków, o tym wiemy. Ale o tych niesamowicie wytrwałych i na trudy odpornych Rosjan, którzy wdzierali się małymi z początku grupkami przez skute lodem i martwe, bezludne obszary syberyjskie, wciąż dalej na Wschód i dalej, o nich wiemy już dużo mniej. Mam na myśli tych pierwszych pionierów. Chabarowa właśnie. Bo Jermak to całkiem inna historia.

Już w pierwszych latach XVII wieku dotarły do Moskwy wieści o tajemniczym i przebogatym w futra i ryby kraju nad Amurem. W połowie tego wieku wojewoda jakucki Gołowin wysłał pierwsze czujki w kierunku tej nieznanej rzeki. Cóż to była za udręka ten marsz po bezludnych, całkowicie od świata poodcinanych głuszach. Ludzie padali jak muchy. Z wycieńczenia. Przede wszystkim z głodu. Odgrzebywano korzonki w zamarzniętej ziemi, żeby zdusić głód najbardziej palący. Jeden z ówczesnych dokumentów głosi: „Nie chcąc umrzeć tak straszną i przedwczesną śmiercią, jedli ciała zmarłych krajowców i towarzyszy żołnierzy". Oddział Pajarkowa składał się ze 132 ludzi. Po niewyobrażalnych męczarniach powróciło ich do Jakucka zaledwie 20. Reszta wyginęła.

Ale o Amurze stało się wtedy głośno.

Wreszcie w 1650 roku nad brzegiem Amuru pojawiła się grupa Kozaków pod wodzą Chabarowa. Wtedy to się zaczęło. Gruchnęła fama jak Syberia długa i szeroka, że nad Amurem jest wszystko. Jest nawet złoto i są diamenty. Runęła fala na Wschód. Ludzi ogarnął święty jakby ogień. Co żyło pchało się nad Amur. Żeby powstrzymać to zbiorowe szaleństwo wystawiano posterunki na trasach. Wreszcie ukazem carskim zabroniono wszelkich wypraw nad Amur pod karą śmierci. To poskutkowało. Liczne jednak rodziny, nie tylko zresztą rosyjskie, osiedliły się nad Amurem już wówczas. Wśród nich Polak Nicefor Czernikowski, który wkrótce zasłynął z talentów organizacyjnych. W 1851 roku nad Amurem pojawiły się rosyjskie sztandary i wyrosły tu silne posterunki wojskowe. Sam Chabarowsk założono w 1858 roku. Służył jako twierdza na granicy, przez Chiny uznanej urzędowym traktatem.

Nazajutrz Sasza zaprosił mnie na przejażdżkę po Amurze łódką. Co za rzeka! Kiedyś przewożono nią jedynie drzewo i chińską herbatę. Dziś przewozi się wszystko. Amur jest pod Chabarowskiem trzykilometrowej szerokości. To właściwie ogromne rozlewisko o licznych ramionach i niezliczonych wysepkach. Ma dziesiątki odnóg, z których każda jest szerokości Wisły pod Kazimierzem. Jest pełen potęgi i majestatu. Należy do największych rzek na tym globie. Kłębi się od ryb. Jest tu tego ponad 100 gatunków. Nie opiszę żadnego, bo tak się znam na rybach i wędkarstwie, jak tybetański mnich zna się na „Kama-Sutrze". Amur dwukrotnie przełamuje się przez góry. Mały i Duży Chingan, nim wreszcie wyleje się szeroką falą w kraj o przeogromnych możliwościach dalszego szybkiego rozwoju.

Łódź zanurzyła się dziobem w nadbrzeżny piasek jednej z wysepek porosłej bujną zieloną trawą i gęstwiną niskich krzewów. Natychmiast rzuciłem się na wznak wystawiając ciało pod słoneczne promienie. A słońce grzało niemiłosiernie.

Pod koniec czerwca gorąc tu taki jak w południowej Grecji. Powietrze jest parne, nasycone wilgocią. Zamknąłem oczy. Co za cisza. Jaki spokój. Słyszało się tylko świergot ptactwa. Raj dla samotników, pomyślałem; gdyby tak namiot mieć pod ręką, góre konserw i kilka skrzynek dobrego piwa, dopiero by tu można wypoczać. Gdy zapadł wieczór, w dole zamigotały ognie białej ściany wieżowców, rysujących się wyraźną linią na tle ciemnego górskiego pejzażu.

Wtedy pojawił się Sasza.

Odrzucił wędkę, postawił w krzakach wiaderko pełne ryb i wskazując na tranzystorek, który wisiał mu na piersiach, powiedział z nutą pewnej emocji w głosie.

— Macie już kosmonautę.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem.

— Podano właśnie w „dzienniku", że w kosmosie jest pierwszy polski kosmonauta — dodał Sasza. — Nazywa się Germaszewski albo Hermaszewski, dobrze nie dosłyszałem.

Spojrzeliśmy mimo woli w roziskrzone gwiazdami niebo. Gdzieś tam w kosmicznej przestrzeni szybował Polak. Dołączyliśmy do jakże wciąż wąziutkiego grona narodów, które pochwalić się mogą wyprawami w kosmos.

Przed odlotem do Bracka wybrałem się w samotny i pożegnalny już spacer nadmorskim bulwarem. Młode pary kroczyły wolno przed siebie trzymając się za ręce. Spoglądały sobie w oczy. Ponownie uderzyła mnie uroda tutejszych mieszkańców. Cóż to za wspaniałe plemię, Rosjanie. Chabarowsk jest miastem rosyjskim. O rosyjskich tradycjach i rosyjskiej kulturze, choć spotyka się tu również Ukraińców, Białorusinów, czasem Polaków, czasem Jakutów i Burjaków. Ale rzadko. Bardzo rzadko. Spojrzałem z bulwarowej balustrady w dół, gdzie rzeczny wir rozbijał się biała pianą o przybrzeżne głazy. Wszędzie na tle rzeki, migocącej czerwcową poświatą zachodzącego słońca, widać było nieruchome sylwetki wędkarzy. Gdzieś w chmurach zahuczał odrzutowiec. Koło przystani odezwała się okrętowa syrena. I znów nad Amurem zaległa głęboka cisza.

ADAM LEWASZKIEWICZ

NASI ZA GRANICĄ

Sezon urlopowy i turystyczny w pełni. Setki samochodów pędzi codziennie w stronę granicznych przejść, międzynarodowe pociągi wypełnione po brzegi, dostać miejsce w samolocie do Budapesztu, Warny czy Bukaresztu — owszem można ale na jesieni. W tej ludzkiej fali wędrującej po słońce i wypoczynek znajdują się niestety setki pseudoturystów.

SPRAWOZDANIE Z PODRÓŻY

Oto jak pobyt pary takich turystów, rencistów, małżonków Barbary i Włodzimierza J. scharakteryzował wiceprokurator wojewódzki mgr **Marian Niesyto**. Uczynił to w akcie oskarżenia wniesionym do Sądu Wojewódzkiego w Łodzi:

„Małżonkowie J., renciści, począwszy od wiosny 1973 r. do marca 1977 r. w celach „turystycznych" wyjeżdżali do: Egiptu, Austrii, Turcji, Danii, ZSRR, Rumunii i Bułgarii. Wyjeżdżając do tych państw zabierali z kraju różne wyroby które poza granicami kraju sprzedawali z zyskiem. Za uzyskane dewizy nabywali m. in. wyroby ze złota. Część towarów wymieniali na zagraniczne środki płatnicze, które przywozili do kraju. Przedmiotem transakcji były m. in. radia, wódka, kawior, ubrania materiały, kapy, skóry z lisów, papierosy, kryształy itp.

Latem 1975 r. w czasie przejazdu przez ZSRR do Turcji małżonkowie J. odwiedzili swą znajomą, mieszkankę Lwowa. Poznali ją przypadkowo w czasie jej pobytu w Polsce w 1974 r. Wówczas to pożyczyli jej 8.000 zł. Ustalono przy tym, że zwrot pożyczki nastąpi w rublach. Będąc we Lwowie otrzymali od znajomej 400 rubli. W postaci „prezentu", oskarżony J. wręczył jej perukę, kapę na łóżko, parasolkę i 20 m tkaniny tzw. kryształki. Za otrzymane ruble oskarżony Włodzimierz J. kupił na terenie ZSRR szereg artykułów a m. in. radio tranzystorowe „Okean". Nabyte przedmioty w Istambule wymienił na złote pierścionki i kamienie syntetyczne do wyrobu biżuterii. Sprzedał tam również namiot za 1000 lirów i aparat fotograficzny za 100 dolarów.

Będąc w Grecji wymienił skórę lisa i kurtkę skórzaną na błam karakułowy. W drodze z Grecji do kraju, na terenie Jugosławii, oskarżony Włodzimierz J. sprzedał sprzęt turystyczny wywieziony z kraju. Z tytułu tej transakcji otrzymał 5.400 dinarów, które w Wiedniu wymienił na 300 dolarów.

Latem 1976 r. w drodze do Rumunii oskarżony Włodzimierz J. na terenie ZSRR zbył perukę, spodnie i parasol za radio tranzystorowe, kurtkę skórzaną i prostownik...

Jesienią tegoż roku małżonkowie J. ponownie wyjechali do Rumunii i Bułgarii. Wyjeżdżając zabrali m. in. 2 nowe garnitury z aksamitu, peruke, 10 m tkaniny. Na terenie ZSRR oskarżony Włodzimierz J. za 4 parasolki tkaninę i 2 ubrania otrzymał 510 rubli..."

Przytaczanie całego fragmentu aktu oskarżenia opisującego „turystyczne" wojaże małżeństwa J. byłoby nużące. Jakie wywieźli wspomnienia z tych krajów? Co zwiedzili? Jakich doznali wrażeń spotykając się z tą parą polskich „turystów" lub nagabywani przez nich — cudzoziemcy?

Myli się jednak ten kto sądzi, że „handlowcy" są jedynym minusem szeroko otwartych granic. I nie przemytnicy — coraz lepiej wyłuskiwani przez celników. Dzięki m. in. uprzejmości zastępcy prokuratora wojewódzkiego w Łodzi mgr **Jacka Rzadkowskiego** miałem okazję przejrzeć kilkadziesiąt akt prokuratorskich, które muszą wstrząsnąć każdym uczciwym człowiekiem. Oto kilka przykładów:

W BUKARESZTEŃSKIM HOTELU „CERNA"

Dwaj mieszkańcy Rudy Śląskiej, bracia Andrzej i Bogdan T. zatrzymali się w hotelu „Cerna" w Bukareszcie. W hotelu tym mieszkali również 21-letni Leszek P. (zamieszkały w Zgierzu, pl. Kilińskiego bl. 2, nie pracujący), 20-letni Andrzej Piotr C. (zam. Zgierz, oś. Pietrusińskiego, bl. 2 (również nie pracujący), 27-letni Andrzej Krzysztof B (zam. Zgierz, ul. Łęczycka 38 też nie pracujący) oraz 23-letni Marek Michał S (zam. Zgierz, ul. 17 Stycznia nr 23). „Paczka" ta przebywała na terenie Rumunii już od 2 miesięcy, trudniąc się nielegalnym handlem różnymi towarami. Przyjmowali oni od rodaków magnetofony, radia, butle gazowe i zbywali cudzoziemcom.

Na swoje nieszczęście poznali ich bracia T., a w trakcie rozmowy w restauracji hotelowej wyjawili, że ich wakacyjny kapitał stanowi 200 dolarów i 700 lei. Znajomi złożyli mieszkańcom Rudy Śląskiej wizytę w nocy. Grożąc żyletką i nożem zrabowali im całą gotówkę a nadto zegarek kwarcowy i walizkę, w której wynieśli osobiste rzeczy poszkodowanych.

Zrozumiałe, iż nie jest to jedyne przestępstwo „zagranicznej paczki — turystów".

DŻENTELMENI Z HOTELU „TRANSYLWANIA"

32-letni Zbigniew J. (zam. w Łodzi, ul. Cieszyńska nr 23 nie pracujący w chwili aresztowania) i 25-letni Tadeusz K. (zam. Łódź, ul. Składowa nr 31) — mieszkali w pięknym hotelu „Transylwania" w Oradei. Pewnego dnia zatrzymało się tam 5 rodaczek. Gdy panie poszły zwiedzać miasto, a w hotelowym pokoju została tylko nieletnia Wioletta S. do drzwi zapukali Zbigniew J. i Tadeusz K. Oświadczyli dziewczynie, że w ich pokoju jest jej matka i prosi, aby przyszła do niej przymierzyć kożuch. Ponieważ Wioletta nie miała kluczy od pokoju poprosiła, aby panowie zostali i przypilnowali znajdujących się bagaży. Kiedy zorientowała się, że ją oszukano i wróciła do pokoju nie zastała już ani panów ani bagażu.

Tego samego dnia, w tym samym hotelu wtargnęli do pokoju zajmowanego przez innych turystów z Warszawy, a zastawszy w nim nieletnią Edytę B. grożąc jej — zrabowali bagaże jej rodziców.

Innym rodakom jeden z dwójki dżentelmenów zaoferował pomoc w wyszukiwaniu punktu napraw magnetofonów, ba razem z nimi zaniósł magnetofon, a potem z punktu odebrał grające skrzynki i szukał wiatru w polu.

Wśród tabunu grasujących w Rumunii oszustów okradających lub oszukujących rodaków znalazł się także, a jakże inżynier elektronik Jan K. z Olkusza. Najczęściej oszuści oferowali pomoc w kupnie kożucha brali leje i przenosili się do innego hotelu.

ZUCHWAŁA KRADZIEŻ NA DWORCU W BUDAPESZCIE

Na Dworcu Wschodnim w Budapeszcie stali Stanisław T., Małgorzata N. i Paweł G. mieszkańcy Piotrkowa Trybunalskiego. Stanisław T. liczył sporą paczkę forintów — przeszło 23 tysiące. W pewnej chwili do Stanisława T. podbiegł jakiś osobnik wyrwał mu pieniądze z ręki i zaczął uciekać. Na budapeszteńskim dworcu rozegrała się scena jakby żywcem wyjęta z gangsterskiego filmu. Okradziony i jego znajomi puścili się w pościg za rabusiem. Stanisław T. już go schwycił, gdy otrzymał potężny cios. Złodziej dobiegł do samochodu z nr rejestracyjnym LDB 04-38 i odjechał. Zaalarmowano policję węgierską która rabusia ujęła. Okazał się nim 21-letni mieszkaniec Łodzi, nie pracujący i karany już w przeszłości Janusz Rudziński (zam. ul. Odolanowska 8).

Kilka stolików w kawiarni „Astoria" w Budapeszcie przy stacji metra o tej samej nazwie zajmują Polacy. Rozmowy nie są tu ciekawe, a ubijane interesy mocno sprzeczne z prawem. Jednym ze stałych bywalców „Astorii" był 22-letni Krzysztof Grabowski (zam. w Łodzi ul. Brzozowskiego 9). Przedsiębiorczy łodzianin zatrudnił kilku innych polskich „turystów" którym płacił za kontaktowanie go z rodakami pragnącymi wymienić forinty na dolary. Interes prosperował znakomicie, choć część klienteli była zwyczajnie okradana. Od pewnej Polki — Grabowski przyjął 40.000 forintów (!), aby „wymienić" je na dolary. Z forintami zwyczajnie uciekł. Tylko jednego dnia dokonał kradzieży aż 50.000 forintów na szkodę swych rodaków.

To zaledwie kilka tylko przykładów „turystycznej" działalności. O ile będzie ich więcej po tym sezonie?

U PRZYJACIÓŁ

W Karlowych Warach co dwa lata odbywa się Międzynarodowy Festiwal Filmowy, organizowany na zmianę z podobną imprezą w Moskwie. W tym roku trwał od 29 czerwca do 12 lipca i ściągnął setki realizatorów, dystrybutorów i dziennikarzy. Hasło XXI Festiwalu, podobnie jak poprzednich, brzmiało: „O szlachetne stosunki między ludźmi, o trwały pokój między narodami".

Festiwal karlowarski obejmuje dziś wiele imprez poświęconych szeroko pojętej sztuce filmowej. Oprócz głównego nurtu, jakim były pokazy filmów zakwalifikowanych do udziału w konkursie i ocenianych przez międzynarodowe jury w ciągu blisko 2 tygodni odbywały się projekcje dzieł w ramach sympozjum młodych kinematografii oraz w sekcji informacyjnej i wybranych (zwykle szczególnie głośnych) pozycji wyświetlanych pod otwartym niebem, w olbrzymim kinie letnim. W tym roku z powodu chłodów wytrwanie do końca na pokazach wymagało nie lada kondycji. Z okazji 80 rocznicy kinematografii czechosłowackiej, gospodarze urządzili przegląd 26 filmów czeskich i słowackich z ostatnich lat. Jubileusz 80-lecia przypomniał pokaz nakręconej w 1947 roku i nagrodzonej w następnym roku Grand Prix w Wenecji „Syreny" reżyserii Karola Stekly'ego. Na specjalnych uroczystych wieczorach uczczono pamięć zmarłych w tym roku dwóch wybitnych artystów kina: Charlie Chaplina i radzieckiego dokumentalisty Romana Kormena. Łącznie wyświetlono przeszło 120 filmów długometrażowych i jak zauważył sprawozdawca „Rudego Prava", jeśliby kto chciał obejrzeć wszystkie, musiałby siedzieć w kinie 250 godzin, a więc gdyby tylko na to przeznaczył swój czas, nie starczyłoby mu 12 festiwalowych dni. Oprócz pokazów były jeszcze inne imprezy i — zgodnie z tradycją dyskusja na „Wolnej trybunie", w tym roku poświęcona roli, jaką odgrywa film w walce o pokój i postęp.

Festiwal otworzył film gospodarzy „Cienie gorącego lata" reż. Frantiszka Vlaczila. Akcja utworu toczy się w 1947 roku, w położonej na odludziu zagrodzie beskidzkiego górala, dokąd trafia kilku ciągnących na zachód banderowców po rozbiciu ich oddziałów na ziemiach polskich. Bandyci terroryzują rodzinę górala, który musi podjąć decyzję jak zachować się w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

Interesujący film pt. „Żelazny prefekt" reż. Pasquale Squitieriego przedstawiła kinematografia włoska. Bohaterem jest prefekt policji Cesare Mori, nb. postać autentyczna, oficer policji, który w latach 1925—29 osiągnął zdumiewające efekty w walce z mafią sycylijską.

Z gorącym aplauzem widowni spotkał się film radziecki „Biały Bim, czarne ucho", reż. Stanisława Rostockiego, oparty na utworze literackim Gawryły Triepolskiego. Bohaterem tytułowym jest pies, główną uwagę twórca poświęca jednak postawom i charakterom ludzi, kreśli ich stosunek nie tylko wobec świata zwierząt.

Filmowcy z „Defy" przedstawili film pt. „Ucieczka" reż. Rolanda Graefera. Tematem filmu jest historia młodego, uzdolnionego lekarza, wybitnego specjalisty, pracującego nad problemem tzw. wcześniaków, a który ze względów ambicjonalnych decyduje się na opuszczenie kraju, stając się ofiarą współczesnych handlarzy „żywym towarem" z RFN.

W konkursie, polską kinematografię reprezentował film Stanisława Różewicza „Pasja", a w sekcji informacyjnej z dużym zainteresowaniem spotkały się filmy „Barwy ochronne" Krzysztofa Zanussiego, „Śmierć prezydenta" Jerzego Kawalerowicza i „Zofia" Ryszarda Czekały. Na pokazach przeznaczonych dla dystrybutorów filmowych prezentowano m.in. najnowszy film Krzysztofa Zanussiego nagrodzony w Cannes, „Spirala".

Dodajmy jeszcze, że nasze plakaty filmowe uczestniczyły w wystawie — konfrontacji obok dzieł grafików z Czechosłowacji, Węgier i z NRD. Polski zestaw należał do najciekawszych i zdobył gorące pochwały gości festiwalowych.

AFRYKA W STRATEGICZNYCH PLANACH USA

Niemal zaraz po zakończeniu II wojny światowej Biały Dom przewidując rozpad systemu kolonialnego zaczął uparcie tworzyć legendę o antykolonialnym kierunku polityki USA z myślą o zyskaniu zaufania młodych, już wyzwolonych i wyzwalających się krajów. W rzeczywistości chodziło o całkowitą mistyfikację: rozgłaszając o swojej wierności dla walki narodów o niepodległość Stany Zjednoczone okazywały jednocześnie oczywiste poparcie zachodnioeuropejskim kolonizatorom.

Kraje Afryki doskonale pamiętają, ile ofiar kosztowała narody tego kontynentu pomoc amerykańska dla Francji w dniach wojny narodowowyzwoleńczej ludności Algierii. W końcu lat 50 i początkach 60 Stany Zjednoczone, zaniepokojone postępowonacjonalistycznym kierunkiem polityki niektórych młodych państw afrykańskich, przystąpiły do bezzwłocznego opracowywania środków w celu hamowania rewolucyjnego postępu na kontynencie, przenosząc doświadczenia z „walki z komunizmem" w Ameryce Łacińskiej na afrykański grunt. Przygotowywanie kierowniczego trzonu armii, udzielanie środków na formowanie ogniw administracji, bezprocentowe pożyczki i „dary" sprzyjające przenikaniu zagranicznego kapitału do ekonomiki młodych niedoświadczonych państw, dostawy broni — wszystko to miało w perspektywie jeden cel: narzucenie krajom afrykańskim takiego modelu społeczno-ekonomicznego rozwoju, który by uwiecznił ich zależność od mocarstw kapitalistycznych.

Równolegle z tą, tzw. oficjalną działalnością USA rozwinęły przeciwko postępowym siłom Afryki tajną wojnę, szeroko uciekając się do metod terroru, spisku i politycznych zamachów. Dokumenty, które dopiero niedawno ujrzały światło dzienne świadczą o bezpośredniej odpowiedzialności Waszyngtonu za zabójstwo Patrice Lumumby, za powstanie marionetkowych ugrupowań typu FNLA i UNITA, które w konsekwencji rozpętały krwawą wojnę przeciwko prawowitemu rządowi Angoli. Z błogosławieństwa Waszyngtonu, tajne służby Stanów Zjednoczonych organizowały w krajach afrykańskich przewroty oddając władzę w ręce swoich zwolenników.

Po wojnie w Wietnamie mogłoby się wydawać, iż Stany Zjednoczone przestały się interesować innymi kontynentami, weszły na drogę izolacjonizmu. Były to jednak pozory, bynajmniej nie odpowiadające prawdzie. W artykule zamieszczonym w algierskim dzienniku „al-Mudżahid" czytamy, m. in., iż mimo porażki w Indochinach, USA nie tylko nie pohamowały swojej penetracji w Afryce, ale, co więcej — podjęły nowe kroki zmierzające do umocnienia swoich pozycji na tym kontynencie. Na przykład rząd Johnsona skoncentrował wysiłki przede wszystkim na okazywaniu pomocy tym reżimom prawicowym, które, jak przypuszczały Stany Zjednoczone, mogłyby im przynieść ekonomiczne, polityczne i strategiczne korzyści.

Pieniądze, eksperci i broń szerokim strumieniem popłynęły do krajów, które Biały Dom uważał za kluczowe w jego afrykańskiej polityce. Należały do nich w owym czasie Zair, Nigeria, Etiopia, Liberia, Kenia i Maroko. Tę linię polityki USA kontynuowała administracja Nixona.

Dojście do głosu amerykańskiej dyplomacji H. Kissingera charakteryzowało się dalszą aktywizacją polityki Stanów Zjednoczonych na kontynencie afrykańskim, a jej obłuda była szczególnie widoczna. Głosząc o swoim potępieniu dla polityki mieszania się w sprawy krajów afrykańskich, USA zwiększyły jednocześnie swoją pomoc dla afrykańskich rasistowskich reżimów Rodezji i Republiki Południowej Afryki, organizowały — opierając się na FNLA i UNITA — zbrojną interwencję przeciwko Angoli, rozpętały w Afryce, bezprecedensową pod względem skali, kampanię antykomunistyczną. W ONZ Stany Zjednoczone rozpaczliwie walczyły o wyratowanie rasistowskich reżimów — zgłaszając veto przeciwko rezolucji żądającej wykluczenia RPA z tej międzynarodowej organizacji.

Fiasko awantury w Angoli, zdecydowany odpór narodów Namibii i Zimbabwe przeciwko urzeczywistnieniu planów neokolonialnego ujarzmienia tych krajów, umocnienie sił postępowych skłoniły Stany Zjednoczone do opracowania nowej strategii w celu ratowania swoich zagrożonych pozycji. Tak wypłynęła na światło dzienne „nowa afrykańska polityka" Białego Domu. Jej podstawowe założenia opracował Kissinger podczas swoich słynnych „czółenkowych" wizyt w Afryce w 1976 roku. Jednakże dopiero prezydent J. Carter i jego przedstawiciel w Afryce E. Young stali się jej głównymi rzecznikami. Sam Carter nie wniósł niczego nowego do politycznych koncepcji Kissingera. W każdym razie USA nie tylko nic nie zrobiły przeciwko rasistowskim reżimom w Rodezji i RPA, ale tak samo dalekie są od rozwiązania problemu dyskryminacji rasowej u siebie w domu.

Rozumiejąc doskonale, iż epoka dyplomacji kanonierek już minęła, w każdym razie można się do niej uciekać tylko w skrajnych sytuacjach, administracja Cartera próbuje osiągnąć swoje cele w Afryce przy pomocy działań kolektywnych, których jaskrawym przykładem jest interwencja Zachodu w Zairze. Cyrus Vance sprecyzował nową amerykańską koncepcję w następujący sposób: „Kiedy wybuchają kryzysy podobne do wydarzeń w Szabie, USA nie pragną odnosić żadnych korzyści w jednostronnej odpowiedzi. Wolimy działać razem z afrykańskimi narodami i naszymi europejskimi sojusznikami".

Mimo niektórych rozsądnych oświadczeń wysokopostawionych osobistości USA, na przykład uznania przez Younga stabilizacyjnej roli Kuby w Angoli, czy oświadczenia Vancea, że amerykańska polityka automatycznego przeciwstawiania się Związkowi Radzieckiemu czy Kubie w Afryce jest brzemienna w poważne niebezpieczeństwo, wiodącą siłą amerykańskiej dyplomacji w Afryce pozostaje nadal antykomunizm. Właśnie w imię tej dyplomacji USA popierają, zarówno na kontynencie afrykańskim, jak i pośrednio na całym świecie, najbardziej reakcyjne reżimy państwowe.

Afryka jest zbyt łakomym kąskiem, żeby Zachód chciał z niego zrezygnować. Tylko w 1975 roku ponad 5 i pół miliarda dolarów USA zainwestowały w Afryce, co przyniosło amerykańskim monopolom miliard dolarów czystego zysku. Zachód otrzymuje z Afryki 90 procent diamentów, 80 — kobaltu i złota, 62 proc. platyny, 33 — fosfatów, 27 — miedzi, 68 — kakao, 22 proc. cennych odmian drewna i in. Ogólne zapasy nafty na kontynencie afrykańskim, bez Afryki Północnej, sięgają 7 miliardów ton, zapasy rudy żelaza dwukrotnie przewyższają zapasy tego surowca w USA.

Na świecie nastąpiły jednak głębokie zmiany w stosunku sił i Stany Zjednoczone nie ryzykują dziś wziąć na siebie indywidualnej odpowiedzialności za bezpośrednią wojskową interwencję w Afryce w celu zabezpieczenia swoich interesów. Idealnym wyjściem są dla nich afrykańscy „partnerzy", którzy, wskutek tych czy innych powodów, stali się bezpośrednimi przekaźnikami polityki USA. Swego czasu Kissinger stawiał na Zair uważając, że właśnie Kinszasa może odegrać czołową rolę na tym kontynencie. Jednocześnie z poszukiwaniami niezawodnych sojuszników, a przede wszystkim cieszących się autorytetem na afrykańskiej scenie politycznej, USA umacniają więzi z Zachodnią Europą, głównie z Francją, która w Szabie nadal wyciąga dla USA kasztany z ognia. W drodze rewanżu Waszyngton milcząco zezwala na rozszerzającą się francuską obecność wojskową w Afryce. W Afryce Południowej amerykańska dyplomacja dokłada wszelkich starań, żeby narzucić neokolonialne rozwiązanie problemu Namibii, Rodezji i RPA.

Stany Zjednoczone są zaniepokojone, że nie osiągnęły tam idyllicznej „harmonii rasowej". Dla nich jest to jedyną drogą do zabezpieczenia własnych ekonomicznych interesów w Rodezji, Nambii i RPA, gdzie działa około 500 amerykańskich kompanii. Suma amerykańskich inwestycji w Płd. Afryce przewyższa półtora miliarda dolarów. Nie mniejszą rolę do odegrania przeznacza się Południowej Afryce w strategicznych planach krajów NATO. Oto dlaczego USA próbują zapobiec pogłębiającemu się konfliktowi w Namibii i Rodezji doskonale rozumiejąc, iż toruje on drogę najbardziej radykalnym elementom i jest brzemienny w wybuch, który zmiecie i monopole i rasistowskie rządy.

JERZY CZECH

25 lat stanu wyjątkowego

Sytuacja mas pracujących Paragwaju jest wyjątkowo ciężka, nawet jak na stosunki południowoamerykańskie. Dzień pracy trwa 18 godzin, nie ma nawet najbardziej elementarnych ustaw, regulujących warunki pracy robotników, 90 proc. uprawianej ziemi należy do bogatych plantatorów.

Więźniów paragwajskich obozów koncentracyjnych i więzień trzyma się w nieludzkich wprost warunkach. Latami nie oglądają słońca, pomocy lekarskiej udziela się tylko w wypadkach krytycznych. Bicie i tortury są na porządku dziennym, zarówno podczas śledztwa, jak i w więzieniach. W Paragwaju „zniknąć bez śladu" jest wyjątkowo łatwo. Artykuł 79 Konstytucji głosi: „Z rozporządzenia prezydenta każdy obywatel może być aresztowany i trzymany w więzieniu przez nieokreślony czas, bez podania powodów i bez wyroku".

Alfredo Stroessner, wnuk przesiedleńców z Bawarii, jest głową państwa i rządu a także głównodowodzącym sił zbrojnych. Po każdych wyborach parlamentarnych, zupełnie niezależnie od ich wyników, kierowana przez niego, rządząca partia „Colorado" niezmiennie „otrzymuje" dwie trzecie mandatów poselskich. Stroessner osobiście mianuje i usuwa ministrów, członków rady państwowej i sądu najwyższego. Może też rozwiązać kongres. Obok partii „Colorado" dysponującej 40 mandatami, w kongresie są reprezentowane jeszcze dwie partie — liberalna i liberalno-demokratyczna, posiadające razem 20 mandatów.

Stroessner doszedł do władzy w 1954 roku w wyniku przewrotu wojskowego i odtąd bez przerwy trwa w kraju stan wyjątkowy.

Zagraniczne monopole, a przede wszystkim amerykańskie, skupiły w swych rękach 90 proc. kapitału kraju, 80 proc. przemysłu i handlu zagranicznego; należy do nich 20 proc. pogłowia bydła rogatego. Znaczną część terytorium Paragwaju dyktatorski reżim Stroessnera oddał pod kontrolę amerykańskiego koncernu naftowego Standard Oil i jego filialnych przedsiębiorstw. Każdy dolar, który inwestują amerykańskie monopole w Paragwaju, przynosi im 5 dolarów czystego zysku.

Inwestycje koncernu Kruppa, Deutsche Bank, AEG i innych największych monopoli przemysłowych RFN sięgają setek milionów marek. Zagraniczni inwestorzy kapitałów hojnie „wspomagają" rządzącą elitę, która przywłaszcza sobie 50 proc. narodowego dochodu kraju. Bardzo dochodowym procederem rządzącej kliki jest przemyt towarów z Argentyny, Brazylii i Boliwii. Co roku sprzedaje się w Paragwaju przemycone towary za sumę półtora miliarda dolarów, co czterokrotnie przewyża globalną wartość handlu krajowego. Lwia część dochodów z tego biznesu trafia na konta Stroessnera, jego dwóch synów, niektórych generałów i szefa tajnej policji.

Paragwajska Partia Komunistyczna działająca w trudnych warunkach podziemia, dąży do zjednoczenia wszystkich sił opozycyjnych, walczy o jednolity front przeciwników dyktatury. Opozycja zamierza przede wszystkim wywalczyć zwolnienie z obozów więźniów politycznych. Z krytyką reżimu nieraz wstępował Kościół katolicki Paragwaju, a arcybiskup Asuncion bojkotuje posiedzenia rady państwowej.

(C)

■ PRZEDWCZESNY OPTYMIZM
■ WASZYNGTON KOMPLIKUJE
■ SPADEK POPULARNOŚCI
■ OCZEKIWANE FIASKO

Wiele hałasu robi się na Zachodzie **wokół czwartego „szczytu" gospodarczego siedmiu najbardziej uprzemysłowionych krajów tamtejszego świata**. „Szczyt" ów obradował w Bonn. Wspólna deklaracja biegnie podobno dalej niż oczekiwano i zawiera wzajemne zobowiązania, których celem jest ożywienie gospodarki, zwalczanie inflacji i bezrobocia oraz zaopatrzenie w energię. Prezydent Carter np. powiedział, że „wyniki spotkania wyszły poza ramy tego, czegośmy oczekiwali".

Komentatorzy jednakże podkreślają, że nie spodziewano się niczego, a więc wszystko, co uzgodniono może budzić oczarowanie. Dodają również, iż **o powodzeniu sądzić będzie można dopiero po upływie czasu** — zobowiązania brzmią bowiem ładnie, ale czy są realne i będą wykonywane? Czy np. USA drastycznie ograniczą import ropy, a pozostałe kraje będą w stanie przyśpieszyć tempo wzrostu gospodarczego?

Przy okazji pobytu w Bonn i odwiedzenia Berlina Zach. **prez. Carter wprowadził temat zjednoczenia Niemiec.** Oczywiście — sprawa to nienowa. Wbrew realiom i mimo potwierdzenia przez KBWE stabilności granic na naszym kontynencie, sprawa przez określone koła polityczne w RFN jest wciąż podtrzymywana. Dlaczego jednak ruszył ją teraz Carter? Czy zjednoczenie leży w ogóle w interesie Zachodu?

Odpowiedź na drugie pytanie jest oczywista, jeśli uprzytomnimy sobie, że RFN wyparła inne państwa zachodnioeuropejskie i gospodarczo ulokowała się w samej czołówce. Na pierwsze natomiast — bardziej złożona i powinna być udzielana w kontekście aktualnych stosunków Stany Zjednoczone — Związek Radziecki. Po prostu **Waszyngton znów komplikuje sytuację** i mnoży bezzasadnie tematy miast koncentrować uwagę na jednym, najistotniejszym: rozbrojeniu, a zatem na rokowaniach, których ono byłoby uzgodnionym następstwem.

Duży już kapitał odprężenia nie może być rozpraszany, odwrotnie — powinien być powiększany przez decyzje, hamujące wyścig zbrojeń i pomniejszające arsenały.

W prasie zachodniej **można spotkać opinie, że usztywnienie Cartera wypływa z wewnętrznej sytuacji Stanów Zjednoczonych** i na taki użytek jest obliczone. Jaka więc jest ta sytuacja? Charakteryzuje się ona **spadkiem popularności prezydenta**, w maju uzyskał on wskaźnik zaledwie 39 proc. nienotowany w stosunku do kilku jego poprzedników. Składają się na to: utrzymująca się recesja, nadal silne tendencje inflacyjne i różne niepowodzenia obecnej administracji. Pewne obniżenie poziomu bezrobocia i przeforsowanie układów panamskich nie zrekompensowało braku wyraźnych efektów działalności na innych polach. Carter zdaje sobie z tego sprawę i wie, że czas teraźniejszy utrwali w społeczeństwie amerykańskim opinie o jego administracji, co może zaważyć na przyszłych wyborach. Z tego podobno względu „demonstruje stanowczość" w polityce zagranicznej.

A teraz nieco o problemach bliskowschodnich..

Jak wiadomo — z inicjatywy USA w Leeds odbyło się trójstronne spotkanie: Egipt, Izrael, Stany Zjednoczone, którego celem było doprowadzenie do wznowienia egipsko-izraelskiego dialogu (przypomnijmy: efektownie swego czasu zapoczątkowanego i dramatycznie zerwanego). Wszyscy obserwatorzy są zgodni: **dwudniowe rozmowy w zamku w Leeds zakończyły się fiaskiem**, nie doprowadziły do żadnego postępu, ponieważ nie pojawiły się w nich żadne nowe elementy. Sekretarz stanu — C. Vance powiedział, że „w rzeczywistości postępem jest to, iż w ogóle doszło do spotkania". Jeśli natomiast postęp rozumiać w całym tego słowa znaczeniu — „powiem krótko: nie odnotowaliśmy ich".

Na zakończenie zwróćmy uwagę na doniesienia agencji **o poważnym kryzysie politycznym w rządzie izraelskim**, który zrodził się na tle kompetencji. Istota polega na tym, że minister Obrony — Weizman i przywódca opozycyjnej Partii Pracy, — Peres, zarzucając premierowi Beginowi błędne posunięcia w negocjacjach bliskowschodnich, sami rozpoczęli rozmowy ze stroną egipską. Begin obawia się, że obaj politycy kierują się po prostu chęcią zajęcia jego miejsca. Zarządził więc, że do rozmów mogą przystępować tylko uprawomocnieni przedstawiciele. W parlamencie, podczas dyskusji nad strategią negocjacji, doszło do niezwykle ostrego spięcia, które, jak twierdzą obserwatorzy, może zaważyć na zwartości rządu, a nawet doprowadzić do jego upadku.

W. SŁAWSKI

ANDRZEJ BOGUSZ

SPORT W CZASIE PIERWSZEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Wybuch I wojny światowej zahamował rozwój ruchu sportowego oraz spowodował zawieszenie działalności większości organizacji sportowych Łodzi. Już w maju 1914 roku — a więc na niespełna dwa miesiące przed wybuchem wojny — ówczesna sytuacja polityczna skłoniła władze rosyjskie do ograniczenia a nawet pełnego zawieszenia działalności organizacji sportowych skupiających członków narodowości nierosyjskiej.

26 maja 1914 roku gubernialne władze rosyjskie wydały decyzję likwidacji Łódzkiego Towarzystwa Gimnastycznego „SIŁA" (KRAFT) po rzekomym stwierdzeniu przekroczeń statutowych, a mianowicie, iż członkami towarzystwa były osoby niepełnoletnie. Na początku czerwca 1914 roku Guberialnia Komisja do Spraw Stowarzyszeń i Związków zażądała od 19 łódzkich towarzystw sportowych przedstawienia szczegółowego wykazu członków z podaniem miejsca zamieszkania i rodzaju pracy, a pod koniec czerwca wyszedł nakaz zawieszenia działalności dalszych stowarzyszeń skupiających członków narodowości niemieckiej. Represje powyższe były prawdopodobnie wynikiem stwierdzonej działalności pozasportowej prowadzonej przez wywiad niemiecki w łódzkim środowisku sportowym w przededniu wybuchu konfliktu wojennego.

Działania wojenne rosyjsko-niemieckie 1914 roku, jakie rozegrały się w bezpośrednim sąsiedztwie Łodzi (bitwa pod Brzezinami) i w samym mieście, oraz zarządzenia wojskowych władz okupacyjnych — spowodowały całkowite zawieszenie działalności sportowej wszystkich łódzkich organizacji sportowych do końca roku. Trwające od grudnia 1914 roku do 11 listopada 1918 r. rządy okupacyjnych władz niemieckich wyrażały zgodę na częściowe prowadzenie działalności sportowej w tych stowarzyszeniach, których zarządy wykazały się lojalnością wobec militarystycznej polityki pruskiej.

Najszybciej reaktywowały swą działalność niemieckie stowarzyszenia sportowe: SS „UNION" i ŁTG „KRAFT". Już w czerwcu 1915 roku podczas zabaw ogrodowych w parku helenowskim organizowanych na rzecz ofiar wojny odbywały się wyścigi kolarskie na torze oraz mecze piłkarskie kombinowanych zespołów SS „UNION" z Touring-Clubem. W zespołach tych występowali zawodnicy wszystkich przedwojennych klubów piłkarskich miasta.

Powstały też nowe stowarzyszenia sportowe — niemieckie, Łódzkie Towarzystwo Sportowe „STURM" oraz Żydowskie Towarzystwo Sportowo-Gimnastyczne „1913 roku". Aktywną działalność kontynuowało Łódzkie Towarzystwo Zwolenników Gry Szachowej, które w sprawozdaniu za 1915 r. wykazało stan 202 członków oraz dochód z imprez szachowych w wysokości 5.018 rubli.

31 maja 1916 roku odbyło się ogólne zebranie członków **Łódzkiego Klubu Sportowego** celem reaktywowania zawieszonej w lipcu 1914 r. działalności. Sytuacja klubu była bardzo niekorzystna, boisko sportowe przy ulicy Srebrzyńskiej zostało zlikwidowane, większość byłych zawodników przebywała w szeregach walczących armii i w tworzących się legionach. W tej sytuacji ogólne zebranie po dokonaniu wyboru nowego zarządu klubu zobowiązało zarząd do zaprowadzenia aktualnej ewidencji członków, wynajęcia lokalu klubowego, zbierania składek oraz wznowienia treningów drużyny piłkarskiej na wynajmowanym boisku w Helenowie.

W 1916 roku powstają kolejne łódzkie organizacje sportowe: **Towarzystwo Gimnastyczne „Polonia"** z siedzibą przy ulicy Radwańskiej 14 — uprawiające piłkę nożną i skupiające członków wyłącznie narodowości niemieckiej: **Łódzkie Towarzystwo Sportowe"** z siedzibą przy ulicy Nowej 3, którego członkowie uprawiali gimnastykę i piłkę nożną oraz 6 lipca 1916 roku **Polskie Towarzystwo Gimnastyczne** — kontynuujące przedwojenną działalność rozwiązanego w lutym 1915 roku przez władze niemieckie Towarzystwa Zwolenników Rozwoju Fizycznego (zakonspirowany „Sokół").

Bardzo aktywną działalność wykazały w 1916 roku żydowskie organizacje sportowe — w grudniu tego roku utworzony został w Łodzi Centralny Związek Żydowskich Towarzystw Gimnastyczno-Sportowych zajmujący się koordynacją działalności sportowej organizacji żydowskich.

Czynione były próby wznowienia w 1916 roku rozgrywek o mistrzostwo Łodzi w piłkę nożną. Do rozgrywek stanęły zespoły: Łódzkiego Towarzystwa Sportowego „STURM", Towarzystwa Gimnastycznego „POLONIA", Pabianickiego Towarzystwa Cyklistów i Łódzkiego Towarzystwa Sportowego. Te cztery zespoły rozegrały między sobą serię spotkań o „mistrzostwo Łodzi i okolic na 1916 r.", w wyniku których przyznano tytuł mistrza Łodzi drużynie ŁTS „STURM".

W okresie zimy 1916—1917 r. urządzane były ślizgawki wewnątrz torów kolarskich na placu cyklistów przy ulicy Przejazd oraz w Helenowie, z których korzystały nieliczne rzesze młodzieży posiadającej buty z łyżwami.

Rok 1917 był bardzo zasobny w wydarzenia sportowe. W lutym Centralny Związek Żydowskich Towarzystw Gimnastyczno-Sportowych Królestwa Polskiego z siedzibą w Łodzi postanowił otworzyć w mieście szkołę dla nauczycieli gimnastyki pochodzenia żydowskiego. Założone zostało Żydowskie Towarzystwo sportowe „BAR-KOCHBA" w miejsce Łódzkiego Towarzystwa Gimnastyczno-Sportowego istniejącego od 1912 roku i Żydowskiego Towarzystwa Sportowo-Gimnastycznego „1913 roku" istniejącego od 1915 r.

19 kwietnia odbyło się w lokalu własnym przy ulicy Widzewskiej 89 zebranie organizacyjne nowego stowarzyszenia sportowego — **Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „PIECHUR"** (oddział łódzki centrali warszawskiej) z sekcjami: piłki nożnej, lekkiej atletyki, gimnastyki — z miejscem treningów na boisku sportowym w Helenowie. W maju otwarta została na Bałutach filia **Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego** przy ul. Aleksandrowskiej 37. Drużyna piłkarska **ŁKS** skompletowana z nielicznych pozostałych w Łodzi zawodników rozgrywała mecze: 22 lipca z bardzo silną drużyną stacjonującego w Łodzi III pułku piechoty wojska polskiego (składającą się z byłych zawodników Cracovii i lwowskiej Lechii) oraz 11 sierpnia z drużyną piłkarską III pułku Legionów. Mecze powyższe rozgrywane były na boisku w Helenowie — jedynym czynnym boisku łódzkim w okresie wojny. Dochód z tych meczów przeznaczony był na pomoc dla rodzin dotkniętych skutkami wojny.

Na początku 1918 roku reaktywowana została **Łódzka Liga Sportowa** mająca swą siedzibę przy Alei Kościuszki 32 (wspólnie z ŁKS). W miesiącach letnich Liga zorganizowała rozgrywki o mistrzostwo Łodzi z udziałem zespołów: ŁKS, TOURING-CLUB, BAR-KOCHBA, POLONIA, STURM i Łódzkiego Towarzystwa Sportowego. W wyniku rozegranych spotkań tytuł mistrzowski przyznano drużynie Klubu Turystów („TOURING-CLUB").

We wrześniu 1918 r. odbyły się w Łodzi pierwsze od 1914 roku międzymiastowe zawody piłkarskie **Warszawa — Łódź**. Zespół Warszawy reprezentowany był przez drużynę „Korony", natomiast Łódź reprezentowała mistrzowska drużyna Klubu Turystów. Wygrała Warszawa 3:1. W drugim meczu „STURM" pokonał „Koronę" 4:2.

Działalność zarządu **ŁKS** w 1918 roku koncentrowała się na zapewnieniu grupom polskiej młodzieży szkolnej możliwości gry w piłkę nożną. Młodzieżowa drużyna **ŁKS** tzw. „uczniowska" była już w tym czasie najlepszym zespołem piłkarskim Łodzi w rywalizacji z rezerwami klubów — członków reaktywowanej Ligi Sportowej. Zarząd **ŁKS** czynił usilne starania w Towarzystwie Akcyjnym J. K. Poznański o odzyskanie przeznaczonego na składnicę fabryczną boiska przy ulicy Srebrzyńskiej. Okazały się one bezskuteczne.

Pomyślnie rozwijało swą działalność **Polskie Towarzystwo Gimnastyczne.** 22 lutego 1918 r. przekształciło filię na Bałutach w samodzielny II Pododdział PTG, samo przeniosło swą siedzibę do dawnego lokalu Towarzystwa Zwolenników Rozwoju Fizycznego przy ulicy Nawrot 23 oraz po uzyskaniu zezwolenia władz zorganizowało — w salach Szkoły Handlowej Kupiectwa Łódzkiego przy ulicy Dzielnej 58 — kursy gimnastyczne dla nauczycieli. Zespoły gimnastyczne PTG występowały z pokazami podczas zabaw ogrodowo-sportowych w Helenowie, członkowie PTG podjęli próby reaktywowania działalności lekkoatletycznej poprzez urządzanie otwartych konkursów skoków w dal, wzwyż i o tyczce, rzutów dyskiem i oszczepem, biegów krótkich. W programie działalności Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego były również wycieczki zastępów gimnastycznych za miasto połączone z ćwiczeniami typu wojskowego.

Aktywne były żydowskie organizacje sportowe. 12—14 sierpnia 1918 roku w Łodzi odbył się drugi zjazd żydowskich stowarzyszeń gimnastycznych i sportowych, zjednoczonych w Centralnym Związku Żydowskich Towarzystw Gimnastyczno-Sportowych. W ramach zjazdu zorganizowano „święto sportowe", w program którego wchodziły; ćwiczenia gimnastyczne wolne i na przyrządach, konkurencje lekkoatletyczne oraz mecze piłkarskie. Zawody „święta sportowego" odbywały się w Helenowie a oglądało je 10 tys. widzów — liczba niespotykana do tej pory w Łodzi na imprezach sportowych.

Próby reaktywowania działalności podejmowali w połowie 1918 r. członkowie **Towarzystwa Warszawskich Cyklistów w Łodzi.** Wynajęli oni lokal klubowy przy ulicy Widzewskiej 88 i dla nielicznych członków — posiadaczy rowerów — organizowali niedzielne wycieczki do Łagiewnik. Sport kolarski w tym okresie nie miał możliwości kontynuowania bogatych tradycji przedwojennych, gdyż większość prywatnych rowerów została zarekwirowana dla potrzeb niemieckich wojsk okupacyjnych.

We wrześniu 1918 r. wznowiło (przerwaną w lipcu 1914 r.) działalność **Radogoskie Towarzystwo Gimnastyczne.** Po otrzymaniu zezwolenia prezydium policji — 14 września odbyło się ogólne zebranie członków Towarzystwa we własnym lokalu przy ulicy Zgierskiej 150. Działalność Radogoskiego Towarzystwa Gimnastycznego, podobnie jak przed wojną, ograniczała się do prowadzenia ćwiczeń gimnastycznych dla swych członków w ogrodzie „Marcelin" (ulica Zgierska 91) oraz popisów gimnastycznych podczas zabaw ogrodowych organizowanych na Radogoszczy.

Ostatnie trzy miesiące 1918 roku w Łodzi nie wykazały większej aktywności łódzkiego środowiska sportowego. Skomplikowana sytuacja polityczna w Europie, zbliżający się kres wieloletniej niewoli, bardzo ciężkie warunki bytowe mieszkańców — to wszystko spowodowało chwilowe zawieszenie działalności sportowej.

KILKA PYTAŃ

sport

Tour de Pologne odbywał się zwykle jesienią, we wrześniu. W trzydziestej piątej edycji tego wyścigu jego organizatorzy postanowili zmienić termin i przenieść wyścig w czas bardziej dogodny, kiedy nie ma jeszcze chłodu, jesiennych szarug i temu podobnych trudności. XXXV Tour de Pologne odbył się więc w lipcu. Jeden z działaczy Polskiego Związku Kolarskiego próbował przekonywać, że przesunięcie terminu spowodowało fakt słabszego obsadzenia tego wyścigu przez zagraniczne związki kolarskie, gdyż właśnie na lato ustaliły już one terminy startów dla swoich czołowych zespołów. Ów działacz wszakże utrzymywał, że Tour de Pologne jest wysoko notowany w Europie, posiada bowiem trudną trasę i dzięki temu budzi zainteresowanie zagranicznych zespołów. Faktem jest jednak, że w tym roku zagraniczne zespoły nie odegrały w tym wyścigu większej roli.

Organizujemy w zasadzie dwa ważne wyścigi kolarskie — a myślę o Tour de Pologne i współudziale w organizowaniu Wyścigu Pokoju — i powinno nam bardzo zależeć na tym, aby były one poważnie traktowane w świecie kolarskim i aby były dobrze obsadzane. Tymczasem sami traktujemy jeden z tych wyścigów — a mianowicie Tour de Pologne — w sposób niepoważny. Nie chodzi mi tu o różne „nieporozumienia" jakie miały miejsce na trasie XXXV Tour de Pologne, ale o sam stosunek do wyścigu. O niektórych „nieporozumieniach" wspominałam w poprzednim tygodniu w felietonie „Kolarskie zdziwienia". Teraz dodać mogę, że na starcie 10 etapu stanął Austriak Erich Jagsch, poprzednio zdyskwalifikowany za jazdę pod górę za samochodem którego trzymał się ręką. W wyniku targów, zawodnika tego ukarano w inny sposób. Pojechał więc dalej i na 10 etapie wygrał dwie górskie premie. Taka wyrozumiałość nie podnosi rangi wyścigu.

Rangi wyścigu nie podnosi też stosunek do Tour de Pologne trenerów, którzy przygotowywali ekipy kolarskie. Można oczywiście udział w wyścigu traktować jako sposób przygotowywania kolarzy do następnego, bardziej trudnego i takiego, na wynikach którego bardzo nam zależy. Nie można jednak wystawić na taki mniej ważny wyścig ekip, które się później wycofuje. A tak niestety było w XXXV Tour de Pologne. Ryszard Szurkowski wycofał się z wyścigu sam, Janusza Pożaka, Lechosława Michalaka, Jana Faltyna, Stanisława Kirpszę i Krzysztofa Sujkę wycofano, bo okazało się, że przewidziani są nie tylko do startu w mistrzostwach świata, ale również w Wyścigu Dookoła Nadrenii. Wyścig ten miał się rozpocząć o tydzień później, ale organizatorzy zmienili termin. Niby wszystko w porządku, a przecież pozostaje wrażenie, że szkoleniowcy PZ Kolarskiego nie bardzo wiedzą, co i jak mają robić.

Myślę też, że i Jan Brzeźny, który ten wyścig w końcu wygrał, czuje się po tym sukcesie nie najlepiej. A to dlatego, że wygrał przecież nie z najlepszymi, tylko wtedy, kiedy najlepszych wycofano. W końcu to nie Jan Brzeźny pokonał też Tadeusza Mytnika i lidera wyścigu Henryka Charuckiego, a tylko wyrwa w drodze, która była przyczyną paskudnej kraksy. Głupia sprawa. A nie byłoby jej, gdyby jednak w końcu jubileuszowy, bo XXXV Tour de Pologne potraktowano poważniej. Gdyby wszystkim zawodnikom stworzono prawdziwie równe warunki do rywalizacji. W sumie wyszło wszystko nie tak, jak powinno. Jest to w każdym razie powód do rozmyślań nie tylko dla Jana Brzeźnego, ale przede wszystkim dla kolarskich działaczy.

Powodów do rozmyślania nie brakuje chyba też i działaczom piłkarskim. W niedzielę, 23 lipca 1978 roku, Telewizja Polska nadała film Ryszarda Dyi o Mundialu '78. W filmie tym padło kilka pytań na temat tego, co było, z których to pytań wyłania się jedno: co dalej? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba oczywiście zastanowić się nad przeszłością polskiej piłki nożnej, ale przede wszystkim uważniej przyjrzeć się piłkarskiej lidze. Właśnie startuje ona do nowego sezonu.

Mówi się już o tym, że „weterani z Monachium" nie będą walczyli w eliminacjach do mistrzostw Europy, że na boisko wkracza nowe pokolenie piłkarzy, takich jak Zbigniew Boniek i Adam Nawałka. To prawda, ale to mało. Rodzi się bowiem nowe pytanie: czy i kto ma już choćby zarys koncepcji drużyny, która wystartuje do mistrzostw Europy? Czasu pozostało niewiele. A i start do jesiennej rundy ligowych rozgrywek nie przyniesie zbyt wielu obserwacji, jako że wielu piłkarzy z ligowych drużyn będzie grało w zagranicznych klubach, na boiska wybiegną nowi piłkarze, debiutujący niekiedy w pierwszej lidze. Z tego też powodu rozgrywki ligowe zapowiadają się ciekawie. Ale czy to wystarczy dla zmontowania nowej reprezentacji Polski? I jaki sobie cel stawia PZPN w eliminacjach do mistrzostw Europy? Myślę, że już czas, aby zacząć problem ten rozważać na poważnie.

BOGDA MADEJ

zdarzenia i zwierzenia

KSIĘGA PARODII

Lektura parodii literackich wymaga pewnego przygotowania, określonej wiedzy — inaczej dowcip nie zostanie rozszyfrowany. To jasne. Ale przecież w czasach książek sprzedawanych spod lady, w czasach kolejek w księgarniach — ludzi rozumiejących aluzje parodii i czujących jej smak mamy dziesiątki tysięcy.

Dlatego z radością rzuciłem się na **„Księgę parodii"** opracowaną przez **Danutę Sykucką**, a wydaną przez WAiF. Maciej Karpiński pisał w „Szpilkach" o tej książce raczej ciepło, choć z dystansem. Mnie „Księga parodii" rozczarowała.

Oczywiście — wydana jest pięknie i tu ukłony dla Wydawnictwa i dla **Zofii Panasiuk**, która rzecz ilustrowała i opracowała graficznie. Cena też jest rewelacyjna — 120 zł. Ale wybór?

Zresztą pal licho wybór! Wiadomo, że każdy recenzent antologii, aby popisać się erudycją wymienia pozycje, które nie znalazły się w wyborze a mogły się znaleźć. Więc nie o to chodzi. Nie to jest najważniejsze. Choć mogły się tu znaleźć słynne „Mrówki" Krogulca czyli Antoniego Orłowskiego — kiedyś erotyczna fascynacja nigdysiejszych nastolatków a dziś czystej wody — znakomita — parodia „Pana Tadeusza". Drukowaliśmy ją kiedyś w „Odgłosach" za co mocno dostaliśmy po głowie.

Nie jestem jednak pewien czy, gdyby Danuta Sykucka, opublikowała ów tekst, nie zaopatrzyłaby go w autorstwo „XXX" — czyli autor nieznany.

Zdumieniem mnie bowiem napawa fakt, że w „Księdze parodii" znalazły się fragmenty słynnego **„Poradnika bibliograficznego nr 13"** sygnowane „XXX". Dziecko wie bowiem, że autor i inicjator tej parodystycznej facecji bibliofilskiej jest od lat znany. Pisał o tym **Wacław Borowy** w „Studiach nad książką" (Wrocław 1951), pisał o tym **Franciszek Bielak** („Biuletyn Biblioteki Jagiellońskiej", 1970), pisał wreszcie **Roman Kaleta** w swoich głośnych „Sensacjach z dawnych lat" (Wrocław 1974)...

Czyli pisano o tym w ciągu minionych dwudziestu lat. Autorem był bowiem... **Jan Stanisław Bystroń**, a wspomagali go **Aleksander Birkenmajer, Franciszek Bielak, Kazimierz Piekarski, Mieczysław Brahmer...**

I tu dochodzimy do sprawy najważniejszej: Otóż **„Księdze parodii"** brakuje informacji bibliograficznej. Prawdopodobnie Danuta Sykucka wybrała fragmenty „Przewodnika" z... „Wiadomości Literackich", które publikacje Krakowian popularyzowały na swoich łamach. Ale i w innych wypadkach aż się prosi o jakąkolwiek informację skąd zaczerpnięto teksty. Może wtedy czytelnik sam mógłby sprawdzić (co wcale nie jest takie trudne), kto naprawdę kryje się za kryptonimem „XXX", którym tak szafuje autorka wyboru.

Mało kto zapewne pamięta, że owa **„Księga parodii"** nie jest pierwszą antologią tego typu po wojnie. Osiem lat temu wydał taką książkę nie żyjący już **Leon Przemski** — nazywała się ona **„Cudze piórka"**, przeszła raczej bez echa, wydana została dużo gorzej mimo ilustracji **Szymona Kobylińskiego**, w nakładzie o połowę mniejszym niż wybór Danuty Sykuckiej.

Ale właśnie u Przemskiego była jakaś próba komentarza i informacji, co w wypadku parodii nie jest bez znaczenia. Tego komentarza i tej informacji zabrakło „Księdze parodii" co wartość publikacji niestety obniża.

I jeszcze jedno: W minionych latach wiele było parodii prasowych — „Szpilki" wydawały przez jakiś czas, każdego 1 kwietnia parodie poszczególnych pism. Były to wydania znakomite. Z kolei „Karuzela" sparodiowała parę lat temu numer „Szpilek" wydając dodatek pt. „Seppuku" (po japońsku „Szpilki")... Parodie prasowe ukazywały się w miesięczniku „Prasa Polska', w „Życiu Literackim"... Nie wspomnę już o „Odgłosach', które przez parę lat parodiowały Hamiltona, Megana, stałe rubryki „Przekroju", „Życia Literackiego", prasy codziennej. A także wydawały parodystyczne dodatki... „Odgłosów".

Parodie prasowe zupełnie umknęły uwadze autorki „Księgi parodii". A szkoda, bo przecież ta właśnie parodia najszerzej rozumiana, najłatwiej „przyswajalna" i mogłaby wzbogacić tę — mimo wszystko — interesującą książkę.

WIDOK

MITY I HIPOTEZY

propozycje

Letni czas sprzyja zajmowaniu się legendami i mitami. Dość znany jest mit o tajemniczym lądzie zwanym Atlantydą, który zapadł się w ocean 11 500 lat temu. Mniej znany jest mit o zaginięciu równie tajemniczego lądu Mu, zwanego też Pacyfidą. Dzieje tego zaginionego lądu oraz ślady, jakie pozostały w obszarze basenu Pacyfiku opowiedział w trzech książkach angielski pułkownik — James Churchward. W 1868 roku przebywał on w Indiach i tam natrafił na tabliczki, na których spisana była historia lądu Mu. James Churchward opisał odkryte przez siebie dzieje tego lądu w trzech książkach: „Zaginiony kontynent Mu", „Dzieci Mu" i „Nie znane symbole Mu". Książki te ukazały się w Anglii w okresie międzywojennym.

Ląd Mu miał zaginąć około 12 000 lat temu, a więc w czasie, kiedy zaginęła Atlantyda. Podobnie jak i ten legendarny ląd atlandycki ląd Mu zapadł się nagle w morze. Pozostały tylko jego ślady, jakimi są wyspy: Wielkanocna, Tahiti, Samoa, Cooka, Marschalla, Gilberta, Karoliny, Hawaje i inne. Ląd Mu rozciągał się na południe od równika. Na lądzie tym, zwanym też Pacyfidą, ukształtowała się wysoka cywilizacja. Jej przedstawiciele skolonizowali rejony basenu Oceanu Spokojnego. Do ludu zamieszkującego Pacyfidę należało również imperium Ujgurów, którego stolica leżała na pustyni Gobi, tam, gdzie rosyjski archeolog z przełomu XIX i XX wieku — Kozłow odkrył grób sprzed 18 000 lat, w którym pochowani byli król i królowa. W 1894 roku inni rosyjscy badacze istotnie pod ruinami miast Kara-Kota odnaleźli na dużej głębokości ruiny jakiegoś innego miasta, ale z braku finansów przerwali badania.

Trwającą wiele wieków „aferę" z Atlantydą rozpętał Platon. Napisano już na ten temat wiele grubych ksiąg. Są ludzie, którzy uparcie bronią legendy o istnieniu tego lądu i próbują snuć różne hipotezy na ten temat. Ale są i przeciwnicy. Twierdzą oni, że istnieniu Atlantydy przeczą następujące fakty: nigdzie nie znaleziono przedmiotu, który pochodziłby z Atlantydy; brak jakiegoś zapisu na temat Atlantydy poza wspomnianym przez Platona, a który już w jego czasach nie istniał; w miejscu, gdzie miał istnieć ląd Atlantyk ma głębokość 2 000 metrów; nie ma żadnego racjonalnego wyjaśnienia przyczyny zniknięcia lądu, a hipotezy o zderzeniu planetoidy względnie części komety z Ziemią są mało prawdopodobne, choć nie można tego wykluczyć.

A co z lądem Mu? Sprawa wydaje się jeszcze bardziej problematyczna. Mniej się nią interesowano, mniej o niej pisano. Są jednak zwolennicy istnienia tego lądu. Katarzyna Andrejewa w książce „Tajemnice zaginionych lądów" pisze na przykład:

„Zdaniem niektórych geologów hipoteza o zatopionym lądzie, którego wyniesioną częścią była Wyspa Wielkanocna, tłumaczy związek Wyspy Wielkanocnej ze strefami zanurzenia Morza Koralowego..

Geograficzne rozmieszczenie roślin i zwierząt w basenie Oceanu Spokojnego jeszcze bardziej potwierdza hipotezę o istniejącym niegdyś, a następnie zatopionym kontynencie."

Ostatnio w „Problemach" ukazał się artykuł według „Nature", z którego wynika, że „znaleziono dowody geofizyczne, geologiczne i biologiczne wskazujące, że istniał kiedyś, obecnie zaginiony, kontynent Pacyfika". Kontynent ten leżał na południe od dzisiejszego równika, między dzisiejszą Australią a Antarktydą. Kontynent ten następnie rozpadł się, a jego fragmenty zderzyły się z innymi kontynentami, wpływając na ukształtowanie się wybrzeży Oceanu Spokojnego.

„Istnienie Pacyfiki — czytamy w „Problemach" — pozwala wyjaśnić pochodzenie pasm górskich wokół Pacyfiku i rzuca światło na pochodzenie podwodnych platform w jego południowo-zachodniej części. Dostarcza też dowodów na kontynentalne powiązanie między zachodnią częścią Ameryki Północnej, południowo-wschodnią Azją, Australią i Ameryką Południową, potrzebnych do wyjaśnienia ewolucyjnej historii flory, jak np. roślin okrytonasiennych i fauny Pojęcie Pacyfiki po raz pierwszy wprowadzili biogeografowie jedynie w celu wyjaśnienia podobieństwa między gatunkami i rodzinami na obszarach otaczających Ocean Spokojny. Nowa hipoteza może dostarczyć szczegółów geofizycznych i geologicznych koniecznych do zrozumienia kontynentalnej i biologicznej historii Pacyfiku."

Aby uniknąć nieporozumień wyjaśniam, że rozpad Pacyfiki rozpoczął się przed blisko 200-milionami lat i trwał też dziesiątki milionów lat. Ale dla zwolennków istnienia lądu Mu może być to argument budzący nadzieję. Skoro bowiem przez miliony lat trwał tam proces rozpadu kontynentu i wędrówka jego fragmentów, to przecież mogło się zdarzyć, że jakaś jego część przetrwała jako ląd Mu i zapadła się w czasach nam bliższym, gdzieś około 11 500 lat temu, kiedy coś się na Ziemi zdarzyło, czego niezbicie dowodzą nagle zamarznięte na Syberii stada mamutów.

Jest więc o czym podumać w sierpniowe — oby ciepłe — wieczory. A zainteresowanych odsyłam do podejmującej temat lektury, jak choćby wznowiona książka Andrzeja Donimirskiego „Przybysze z Kosmosu, rzeczywistość czy fantazja?", gdzie w bibliografii można znaleźć tytuły innych, równie podejmujących te sprawy książek.

MARCIN RODAK

SPOWIEDŹ GENERAŁA KOMUNY PARYSKIEJ

Na ulicach Paryża trwały ostatnie walki: oddziały Thiersa i Bismarcka kończyły rozpoczętą rzeź. 30 tysięcy komunarów złożyło w ofierze życie rewolucji. Dymiły dopalające się barykady, salwy egzekucji wstrząsały miastem, czerwone flagi legły w ulicznym kurzu. Naczelny dowódca lewego brzegu Sekwany, gen. Walery Wróblewski, wydał rozkaz o przerwaniu ognia. Wraz z pożarem miasta dopalał się pierwszy w historii rząd klasy robotniczej — Komuna Paryska.

Był maj 1871 roku. Walery Wróblewski miał zaledwie 35 lat, lecz w swojej biografii zdążył zapisać dwa ważne momenty historyczne, oba bohaterskie i oba tragiczne: Powstanie Styczniowe 1863 w Polsce i osiem lat później wspaniały zryw ludzi, którzy nazwali siebie komunardami. Dwie wielkie nadzieje i dwie porażki, dwukrotny wzlot i kolejne niepowodzenia. On, którego w kraju przyrównywano do Apolliona, teraz, po klęsce był żałosnym inwalidą z porąbanym szablą ramieniem, raną głowy, wygnańcem bezdomnym, tułaczem zdanym na łaskę przyjaciół. Jeszcze w czasie Powstania Styczniowego pewien dobrodusznie wyglądający człowiek o nazwisku Karol Marks z uwagą śledził dzieje polskiego generała. Marks niezwykle wysoko cenił także walory Wróblewskiego jako dowódcy i jako wybitnego działacza politycznego polskiej emigracji. Toteż po upadku Komuny Paryskiej, kiedy Wróblewski znalazł się w Londynie, z inicjatywy Marksa został członkiem Rady Generalnej I Międzynarodówki, jako przedstawiciel rewolucyjnej Polski. Wspólnie także obaj biorą udział w pracach Rady Generalnej.

Jednocześnie Wróblewski popada w poważne tarapaty finansowe. Brak środków do życia nie pozwala nawet na złożenie wizyty u Karola Marksa, który zaprosił go na święto nowego, 1872 roku. Nie chce także przyjmować pomocy pieniężnej, wyjeżdża, tuła się po Szwajcarii, Włoszech, Francji. Pracuje jako robotnik, przez pewien czas w jednej z kuźni podkuwa konie, robi obręcze, ale coraz częściej ból ręki każe przerwać pracę. W dni, kiedy nie walił młotem, nie otrzymywał jedzenia. Mimo to nie załamuje się, zaprasza przyjaciół, utrzymuje żywe kontakty z emigracją polską, prowadzi działalność polityczną. W połowie lat 90-tych Engels zażądał od partii socjalistycznej Francji, aby zajęła się chorym generałem Komuny.

Zmarł Walery Wróblewski 5 sierpnia 1908 roku i został pochowany w Paryżu.

Pisząc niniejszy szkic o wielkim Polaku nie chodziło mi w zasadzie o przedstawienie sylwetki Walerego Wróblewskiego ani jako wodza, ani jako polityka — przyjaciela Marksa i Engelsa. Są to rzeczy na ogół znane. Mniej natomiast znany jest fakt dotyczący słynnej ankiety, jaką przeprowadziły córki Marksa — Jenny, Laura i Eleonora wśród wybitnych ludzi swoich czasów. M.in. zachowały się odpowiedzi Karola Marksa, jego żony Jenny, Fryderyka Engelsa i innych osobistości zaliczanych do przyjaciół Marksa. Zachowała się także odpowiedź Walerego Wróblewskiego. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale ankieta wypełniona przez Wróblewskiego została nie tak dawno odnaleziona, a po wtóre jej charakter daleko odbiega od wypowiedzi pozostałych osób. Będąc w bliskich, przyjaznych stosunkach z rodziną Marksa, a znając pewne nawyki i upodobania córek gospodarza swoją odpowiedź Wróblewski zaprawia często parodią, żartem, dość odległą parabolą. Wiedząc, że Eleonora uwielbia kwiaty i nie znosi baraniny z przekorą podkreśla, że sam nie ma ulubionych kwiatów, a baraninę uwielbia. Ale oddajmy głos ankietującym i ankietowanemu.

1. Zaleta, którą Pan ceni najwyżej u ludzi? — U mężczyzn? aktywność!, u kobiet — kokieteria ponad miarę. 2. Pańska cecha charakterystyczna? — Prostactwo. 3. Pański ideał szczęścia? — Płonące piekło. 4. Pańskie pojęcie o nieszczęściu? — Zimny raj. 5. Ułomność, która wywołuje u pana największy wstręt? — Słabość. 6. Ułomność, którą Pan usprawiedliwia? — Niewierność u kobiet. 7. Pańska antypatia? — Świętoszkowie. 8. Ulubione zajęcie? — Iść pod wiatr. 9. Ulubiony poeta? — Torquatto Tasso. 10. Ulubiony prozaik — Paul Vicher. 11. Bohater? — Don Juan. 12. Bohaterka? — Te, które wiodą mężczyzn za nos. 13. Ulubione kwiaty? — Nie mam ulubionych kwiatów. 14. Ulubione imiona? — Mahomet. 15. Kolor oczu i włosów? — Długie (włosy), czarne (oczy). 16. Ulubiona potrawa? — Ragout z baraniny. 17. Postacie historyczne, którymi się Pan zachwyca? — Attylla i Tamerlan. 18. Postacie historyczne, którym Pan pogardza? — Herostrates i rzymscy papieże. Dewiza: Na co zdałyby się te wszystkie cnoty i wady (nawet ciemność nocy i promienie dnia) bez jasności czarnych oczu i bez cieni długich włosów.

Podpis: WALERY WRÓBLEWSKI

Powyższa ankieta wymaga komentarza. Jak powiedziałem wyżej, część odpowiedzi została podyktowana żartem i z przekorą wobec młodych dziewcząt, lecz niektóre posiadają głębokie znaczenia. Mają swój odpowiednik w historii, w aktualnej sytuacji narodu polskiego. Jeśli więc Eleonora lubi kwiaty, a nie znosi baraniny, w ankiecie Wróblewski zajmuje przeciwstawne stanowisko. Stąd też wzmianka o Don Juanie, o czarnych oczach i długich włosach. Ale Atylla i Tamerlan? Jest to odpowiedź na szalejący terror Thiersa, na oskarżenie Komuny o zmowę przeciwko cywilizacji, o barbarzyństwo. Tak, byli ludźmi idącymi pod wiatr historii, ich żywiołem była walka, „płonące piekło", gardzili sytym, leniwym szczęściem „zimnego raju".

W owym czasie Polacy zachwycali się Włochami, Garibaldim (odważnemu Pan Bóg pomaga!). Młodzież zajmowała się oktawami „Jerozolimy wyzwolonej". Stąd w ankiecie nazwisko Torquatto Tasso. Natomiast przyznając się do Paula Vicher, wyraźnie zakpił. Wróblewski był bliskim przyjacielem Kraszewskiego i Syrokomli, a Vicher był po prostu francuskim emigrantem, znajomym Marksa i Engelsa.

Najbardziej charakterystyczną dla Wróblewskiego odpowiedzią w ankiecie jest odpowiedź na pytanie: „Zaleta, którą Pan ceni?". Przez całe życie Walery Wróblewski był aktywny jako bojownik i tego samego wymagał od innych. Nie znosił połowiczności, za słowami zawsze szły czyny. Nazywano go powszechnie człowiekiem czynu. Taki był do końca. Ci, którzy widzieli go tuż przed śmiercią, zanotowali że był dumnym orłem, bohatersko noszącym swoje przetrącone skrzydła.

Jego pogrzeb stał się manifestacją, wielką demonstracją polityczną postępowych sił Francji. W taki oto sposób, po raz ostatni, przeszedł Walery Wróblewski ulicami Paryża — „pod wiatr".

Oprac. E. I W.

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

JERZY JARMOŁOWSKI

**„Trioletem się bawię,
Cyc sławię!"**

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

KULTURA MASOWA

Kim jest Krzysztof Teodor Toeplitz — nie potrzeba nikomu wyjaśniać. Krytyk filmowy i publicysta, autor wielu prac z zakresu teorii i historii filmu i kultury masowej, autor felietonów „Kuchnia polska" publikowanych w „Kulturze"...

Od pewnego czasu Krzysztof Teodor Toeplitz jest wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. W serii „Omega" Wiedzy Powszechnej ukazał się właśnie cykl esejów Teoplitza oparty na wykładach prowadzonych na tej uczelni.

Kultura masowa — zjawisko specyficzne dla XX wieku — od dwudziestu blisko lat dyskutowana jest zarówno w kręgach specjalistów, jak i wśród szerokiej publiczności zainteresowanej przemianami naszych czasów. Autor wykazuje doniosłość społeczną mechanizmów kultury masowej, jej wpływ na kształt współczesnej cywilizacji. Na tle historycznym rozważa warunki powstania i rozwój owej kultury, specyfikę niesionych przez nią treści, prezentuje nową publiczność, wychowaną na nowych wzorach i odmiennym systemie wartości.

Autor analizuje również możliwości i perspektywy kultury masowej zarówno w świecie cywilizacji zachodniej, jak i w krajach socjalistycznych. Oprócz rzetelnej informacji książka zawiera wiele interesujących, oryginalnych wątków, wnikliwych analiz i ciekawych ujęć — może zatem stanowić satysfakcjonującą lekturę dla czytelnika śledzącego perypetie kultury naszej epoki.

Krzysztof Teodor Toeplitz — „Wszystko dla wszystkich" „Wiedza Powszechna", cena zł 20.—

DROGA DO BERLINA

Nazwisko Borysa Polewoja oznacza dla czytelnika przede wszystkim temat wojny ojczyźnianej, wojny o wyzwolenie spod jarzma faszyzmu — oznacza szlak bojowy do Berlina. Polewoj — z zawodu dziennikarz, sławę zdobył powieścią poświęconą bohaterskiemu lotnikowi A. P. Mieriesiejewowi, który po amputacji nóg nie zrezygnował z latania i walki, stając się przykładem bohaterstwa i uporu dla całej młodzieży radzieckiej. „Opowieść o prawdziwym człowieku" miała w Polsce wiele wydań i jest dobrze znana polskiemu czytelnikowi.

Tym chętniej sięgamy dziś po nową wojenną książkę Polewoja — „Do Berlina 896 kilometrów". Jest to oczywiście literatura faktu — fascynujący pamiętnik korespondenta wojennego, który towarzyszy wojsku na szlaku bitewnym do Berlina. Po drodze Polewoj bierze udział w forsowaniu Wisły, potem ląduje w ogarniętej powstaniem Pradze Czeskiej — wreszcie trafia do Berlina i w końcu uczestniczy w słynnym spotkaniu wojsk radzieckich i amerykańskich nad Łabą.

Opowieść Borysa Polewoja o wojennym szlaku korespondenta jest relacją pasjonującą. Wyłania się z niej jeszcze jedna prawda. Ta mianowicie jak bardzo wielką wagę przywiązywało Dowództwo radzieckie do pracy wojskowych dziennikarzy, jak bardzo tę pracę ceniono... Wystarczy dla przeciwwagi przeczytać choćby relacje Wańkowicza, aby się przekonać jak różny był ów stosunek w Armii Polskiej na Zachodzie. Tam korespondent bywał z reguły intruzem.

Borys Polewoj — „Do Berlina 896 kilometrów" KiW cena 30 zł.

NOTATKI BIBLIOFILA

Miłośnicy książki i bibliofile wszelkiej maści dobrze znają nazwisko Wiktora Frantza — krakowskiego wydawcy i bibliofila. Frantz wydał już dwie piękne książki — „W gnieździe drukarstwa polskiego" oraz „Odłamki wspomnień". Zwłaszcza ta druga jest kopalnią unikalnych informacji o edytorskich facecjach i zabawach, o przedziwnych drukach bibliofilskich, o studenckich latach we Lwowie...

Najnowsza książka sędziwego bibliofila krakowskiego nosi dziwny tytuł „Philobiblionska suita" i jest piękna opowieścią o sztuce edytorskiej, znakach książkowych, chochlikach drukarskich... Słowem jest to przebogata, głęboko erudycyjna, świetnie napisana rzecz wyrosła z wielkiej miłości i ogromnej wiedzy.

Książkę swoją zaopatrzył Wiktor Frantz w znamienne motto ze „Złotej róży" Konstantego Paustowskiego: „...nie jest to ani studium teoretyczne ani, tym więcej, podręcznik. To po prostu uwagi o tym, jak rozumiem pisarstwo, i o moim własnym doświadczeniu".

I taka właśnie jest ta książka — wyrosła z umiłowania literatury i mądrego jej rozumienia.

Wiktor Frantz — „Philobiblionska suita" Wydawnictwo Literackie, cena 45 zł.

MAGAZYN kulturalny Nr 19

Z NOWYCH OBRAZÓW Danuty Muszyńskiej-Zamorskiej

Danuta Muszyńska-Zamorska „Janusz Korczak z dziećmi".
Foto: K. Turowski

SATYRYCZNY PUNKT RECENZENCKI „RYM" ajent: Ryszard Doroba

„TATO, TATO, SPRAWA SIĘ RYPŁA" R. LATKI w TEATRZE 7.15
Polskiej komedii rypła się sprawa i jest wesoło, jak na stypie — innego czekaj tatka Latki, który to może jakoś „odrypie"...

Rys. K. Baraniecki

U SCHYŁKU SEZONU...

Rozmowa „MAGAZYNU" z dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi WOJCIECHEM EKIERTEM

„Magazyn": — Chciałbym, aby celem naszej rozmowy, która nie przypadkiem ma miejsce u schyłku starego, a niemal w przededniu inauguracji nowego roku kulturalnego, była próba — z konieczności skrótowa — bilansu tego, co do naszego życia wniósł mijający właśnie sezon artystyczny. Wcześniej jednak pragnę podzielić się z Panem dość niewesołym spostrzeżeniem. Otóż wydaje mi się, że obserwowany ostatnio w skali całego kraju spadek zainteresowania uczestnictwem w różnych formach kultury profesjonalnej nie ominął — niestety — Łodzi, a frekwencja, zwłaszcza w teatrach dramatycznych, w Teatrze Wielkim i Filharmonii jest tego dowodem...

— Istotnie, mniej więcej od trzech lat także w łódzkich teatrach i placówkach muzycznych notujemy wyraźny spadek frekwencji. Przyczyną tego stanu rzeczy jest z pewnością wciąż niewspółmierny z oczekiwaniami poziom pracy tych instytucji, jakość ich prezentacji. Zapewne, jak sądzę, nie bez znaczenia jest również i to, że w wielu instytucjach zarzucono w ogóle bądź zaniedbano sprawę organizacji widowni.

Ale o innych przyczynach mówić by można dopiero na podstawie szczegółowych, socjologicznych badań tego, co społeczeństwo Łodzi i województwa sądzi o konkretnych propozycjach środowisk twórczych i instytucji kulturalnych. Podjęcie takich badań jest w tej chwili koniecznością. Muszą się one jednak spotkać ze zrozumieniem i aprobatą kierowników wszystkich objętych takimi badaniami placówek.

— Muszę z pewnym niepokojem stwierdzić, że choć przybywa z roku na rok imprez, cechą działalności kulturalnej w mieście i województwie jest wciąż niestety jej okazjonalność...

— Bezsprzecznie nie jest korzystnym zjawiskiem to, że ponad 60 procent wszystkich masowych imprez organizowanych w ciągu roku skupia się u nas w okresie między początkiem maja, a początkiem czerwca. Nasze działania są ciągle jeszcze zbyt rozproszone. Zdarza się, że w te same dni i o tych samych godzinach koncentruje się zbyt dużo propozycji, podczas gdy brak imprez w pozostałe dni. Na przykład w testrach, w których po okresach wzmożonego „bombardowania" premierami następują długie miesiące puste. Jest to rezultat z jednej strony niedostatków w koordynacji ze strony naszego wydziału, z drugiej strony zaś wskazuje na skłonności do pracy „zrywami". Muszę przyznać, że bardzo trudno jest nam rozłożyć tę rozproszoną działalność równomiernie na cały rok. Jest to zapewne wynik znanej w działalności wielu instytucji i zakładów pracy tendencji do organizowania sobie kultury we własnym zakresie, często bez naszej wiedzy. Organizatorom tych imprez trudno wytłumaczyć, że z szerszego, dzielnicowego czy miejskiego punktu widzenia ich działania nie zawsze są celowe. Nie znaczy to jednak, żebyśmy chcieli ujmować cały ten żywiołowy ruch w sztywne, biurokratyczne ramy.

— Ale koordynacja — w miarę przybywania imprez — jest coraz bardziej konieczna. Tym bardziej że nadal nie są rzadkością przypadki „robienia kultury" tylko po to, by wydać przeznaczone na ten cel pieniądze i zdobyć „punkt" w sprawozdaniu...

— Zjawiska takie niewątpliwie zdarzają się. Chcę jednak powiedzieć, że wszędzie tam, gdzie istnieje żywe, autentyczne zainteresowanie społeczne, kwestia „ile wydać?" jest poza wszelką dyskusją. Tym bardziej, jeżeli te działania mają określony sens ideowy i wpływają na lepsze rozumienie otaczających nas przemian, tak widocznych w Łodzi.

— Jakimi zatem drogami Wydział Kultury i Sztuki próbuje skoordynować tę całą rozproszoną działalność?

— Przede wszystkim chcemy ją ukierunkować pod względem programowym. Na przykład na Bałutach, w rejonie przemysłowego Teofilowa, staraliśmy się wykorzystać poszczególne zakłady pracy w określonych kierunkach. I tak z „Eitą" związało się środowisko plastyczne, a ZTK „Teofilów" stworzyły warunki dla działalności scenicznej. Podobne próby ułożenia pracy kulturalnej podjęliśmy na Dąbrowie. Próby te przypieczętowane zostały podpisaniem konkretnych umów, z których jednak wiele — muszę to otwarcie powiedzieć — zostało tylko na papierze.

— Dlaczego?

— W Łodzi kontakty twórców ze środowiskiem przemysłowym, robotniczym, zostały objęte hasłem „Sojuszu świata pracy z kultura i sztuką". Jest to kierunek słuszny. Sojusz ten jednak nie może być realizowany wyłącznie w oparciu o umowy. Wydaje mi się, że pewne proporcje zostały tu zachwiane. W mniejszym stopniu decydowało bowiem autentyczne wzajemne zainteresowanie i potrzeba kontaktów co w gruncie rzeczy niechęć do opuszczania sztywnych założeń umowy. „Przegięć", które w efekcie nastąpiły, nie potępiałbym jednak do końca. Gdybyśmy bowiem chcieli odpowiadać tylko za to, co ma zapewnionego odbiorcę, to byśmy po prostu robili dużo za mało... Chcę przez to powiedzieć, że musi mieć miejsce czasami nawet jakaś przesadzona aktywność. Tylko ona umożliwi nam bowiem szansę dotarcia do najszerszych kręgów. Oczywiście, musi jednak istnieć pewien margines uchybień. Proszę wszakże tego nie zrozumieć jako próby rozgrzeszenia się czy usprawiedliwiania. Musi nas cechować ta zdwojona aktywność nawet kosztem strat. Uważam, że nawet ta aktywność, której skutki nie wychodzą czasem poza papier, w pewnym stopniu również daje w sumie pozytywne wyniki...

— Jak Pan ocenia aktywność poszczególnych łódzkich środowisk twórczych?

— W stosunku do środowisk i twórców z osobna nasza rola musi zawężać się jedynie do inicjowania,podpowiadania. Reszta będzie zawsze zależeć od samych twórców. Myślę, że aktywność ta jest dobra. Ochotę łódzkiego środowiska literackiego do utrzymywania stałych kontaktów z czytelnikiem konkretyzujemy głównie poprzez spotkania autorskie. Aktywną działalność wystawienniczą prowadzi środowisko plastyczne. Dość regularnie organizowane są w Łodzi prezentacje dorobku „Semafora", Wytwórni Filmów Oświatowych czy zespołu „Profil". Nie mogę oczywiście powiedzieć, że obecny stan nas zadowala. Uważam, że potencjał kulturalny Łodzi i województwa nadal nie jest w pełni wykorzystywany.

— Proponuję, abyśmy spróbowali zilustrować na przykładzie niektóre problemy środowisk twórczych i instytucji kulturalnych Łodzi. Jak na przykład ocenia Pan poziom teatrów dramatycznych w mijającym sezonie 1977/1978?

— Zabrakło — niestety — takich wydarzeń teatralnych, które mogłyby się poważnie liczyć w skali kraju. Wymieniłbym cztery podstawowe niedostatki: brak konsekwentnej polityki repertuarowej, zbyt dużą rozbieżność między repertuarem planowanym a wykonanym, brak nowych polskich dramatów na scenach łódzkich, objawy kryzysu reżyserii. Odnośnie pierwszej sprawy: brak konsekwentnej polityki repertuarowej zaobserwowaliśmy na Małej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza, która w założeniu miała być miejscem poszukiwań repertuarowych i formalnych. Ale założenia „rozmyły się" po drodze, a ostatnie dwie premiery: adaptacja „O naprawie Rzeczypospolitej" według Andrzeja Frycza Modrzewskiego i „Panna Julia" Augusta Strindberga nie obroniły się pod względem artystycznym ani też kasowym. Uzasadniony niepokój budzi również polityka repertuarowa na Dużej Scenie Teatru Jaracza. Trzy pozycje, które jedynie zostały zrealizowane z wcześniejszego planu, nie wskazują niestety na obecność jakiejś wspólnej formuły, jednoczącej poczynania artystyczne tego teatru...

— A przykłady pozytywne?

— Świadomą i konsekwentną politykę repertuarową prowadzi Teatr Powszechny, którego wynikająca z nazwy formuła „powszechności" nie wyklucza obecności propozycji z wielkiego repertuaru klasycznego („Ryszard III" Szekspira) i współczesnego („Lot nad kukułczym gniazdem" Kesey'a). Z kolei konsekwencja repertuarowa Teatru Nowego wyraża się w przypadku Małej Sali — przyzwyczajaniem łódzkiego widza do teatru poetyckiego, rapsodycznego, w wypadku zaś Dużej Sceny penetracją — poprzez utwory z różnych etapów rozwoju teatru — różnych stylistyk. W repertuarze Teatru Nowego zwraca uwagę ładunek treści społecznych i politycznych uzyskiwanych jednak nie przez „uwspółcześnianie na siłę", ale poprzez pewien niezafałszowany sposób zaangażowania i autentyczną obecność teatru w życiu...

— Zwykłego widza jednak najbardziej niepokoi brak w repertuarze łódzkich teatrów zarówno pozycji z wielkiego dramatu romantycznego, jak i nieobecność współczesnej polskiej dramaturgii...

— Braki te niepokoją i nas. Na ogółem 54 premiery zrealizowane w ciągu dwóch ostatnich sezonów nie było nawet jednej sztuki z naszego romantycznego dramatu... A wśród 23 pozycji repertuarowych w minionym sezonie znalazły się zaledwie dwa utwory współczesnych polskich autorów: „Każdy chwyt dozwolony" Orłowskiego i „Żegnaj, Judaszu" Iredyńskiego. A gdzie dramaty Twaszkiewicza, Kruczkowskiego, Różewicza? A gdzie utwory Broszkiewicza, Brylla, Redlińskiego, Grochowiaka? Nadal otwarty jest również problem teatru dla młodego widza. Funkcje tego teatru będziemy chcieli od przyszłego roku powierzyć Teatrowi Ziemi Łódzkiej. Z innych niedostatków wspomnę tu owe rozbieżności między repertuarem zaplanowanym a realizowanym. Pod tym względem najlepiej spisał się Teatr Ziemi Łódzkiej, z 6 zaplanowanych propozycji realizując 5. Niepokoi zastój wśród reżyserów. Od dawna nie gościliśmy w Łodzi żadnego z wybitnych reżyserów młodszego pokolenia. Osobiście uważam, że dużym błędem było w przeszłości „wypuszczenie" z Łodzi Jerzego Grzegorzewskiego...

— Przedstawiona przez Pana ocena stanu łódzkiego teatru jest, muszę przyznać, powściągliwa w laurkach... Czym Pańskim zdaniem podyktowane są trudności w realizacji planów repertuarowych i słabsze efekty artystyczne?

— Pomińmy może tym razem problemy związane z samą sztuką, ze stroną artystyczną. Z punktu widzenia realizacji planów i zamierzeń bardzo ważne jest zapewnienie odpowiednich funduszy. Otóż w ostatnim czasie w stolicach nowych województw powstało i powstaje nadal szereg profesjonalnych instytucji kulturalnych, teatrów, orkiestr, które dysponują znacznymi, ale niewspółmiernymi do swych osiągnięć funduszami. Zjawisko to — przy nie zmienionych od dwóch lat nakładach na analogiczne instytucje w większych ośrodkach — powoduje na przykład spychanie w dużo gorsze położenie teatrów o ustalonej tradycji artystycznej i budżetowej. Nie jestem generalnie za centralizacją kultury, nie mam nic przeciwko teatrowi w Legnicy czy orkiestrze w Łomży. Istnieje jednak konieczność objęcia przemyślanym planem tej żywiołowej tendencji w taki sposób, aby rozwój nowo powstałych placówek nie kolidował z rozwojem placówek uznanych. Być może wyjściem byłoby tu pewne „kategoryzowanie" istniejących instytucji tak, aby odpowiedniej kategorii przypisane zostały odpowiednie warunki płacowe, a przejście z kategorii niższej do wyższej oznaczało awans... Obecna zaś sytuacja sprzyja twórcom o pewnej życiowej zaradności (w ciągu sezonu parokrotnie zmieniają oni pracę dla lepszych warunków), „podkupywaniu" aktorów czy muzyków, co w końcu ma niemały wpływ również na efekty artystyczne. Obciąża ponadto miasto obowiązkiem finansowego wzmacniania teatrów czy filharmonii...

— Nie mówiąc już nawet o tym, że zjawisko opisane przez Pana nie sprzyja po prostu preferowaniu i wyróżnianiu tego, co w kulturze najwartościowsze.

— Tak, i dlatego sprawa ta wymaga radykalnych rozwiązań. Przedstawiona przeze mnie — w znacznym oczywiście uproszczeniu — sytuacja powoduje również brak stabilizacji w działalności placówek, a my nie jesteśmy w stanie przecież z puli miasta zaspokoić wszystkich oczekiwań... Z drugiej strony stan ten zmusza teatry do bardziej racjonalnego gospodarowania, do oszczędności, o które jednak — w operze na przykład — nie jest łatwo i prosto. Trudno jest dziś — gdy się przez tyle lat przyzwyczajało widza do bogatej tzw. wystawy — zrezygnować z kosztownych dekoracji i kostiumów...

— Naszkicowane przez Pana trudności to jednak tylko część zagadnienia, w ich rozwiązaniu — o ile mi wiadomo — Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta aktywnie uczestniczy...

— Chcemy wpływać również na program, politykę repertuarową teatrów. Jak pan wie, staramy się, aby funkcje kierownicze pełnili w łódzkich teatrach i szerzej — w łódzkiej kulturze — ludzie o uznanych autorytetach. Musimy więc być konsekwentni i autorytet dyrektora, a zarazem kierownika artystycznego uznawać za najważniejszy. Nie oznacza to jednak, że rezygnujemy z dialogu. Z naszej oceny mijającego sezonu — nie najwybitniejszego niestety w historii łódzkiego teatru chcemy wywieść zasadę stałych, bardziej roboczych spotkań i kontaktów z kierownictwami teatrów. To samo dotyczy zresztą innych środowisk. Pogłębiona ocena czeka na przykład działalność wystawienniczą naszych plastyków. Podobnie — film. Po z górą dwóch latach działania ustabilizował się zespół filmowy „Profil". Stał się zespołem określonym programowo, wiążącym ze sobą grono twórców. Jednakże naszym zdaniem nie nastąpiło jeszcze zespolenie środowiska filmowego wokół tego zespołu. Nadal twórcy filmowi wiążą się indywidualnie z wytwórniami, podobnie jak muzycy z instytucjami muzycznymi. Aktorów zespala w pewnym stopniu „Spatif", ale trudno powiedzieć, że mamy tu do czynienia ze zwartym, aktywnym również poza placówkami profesjonalnymi, środowiskiem aktorskim... W tej sytuacji większa niż dotychczas rolę integracyjną wobec wszystkich środowisk twórczych powinna spełniać — tak jak to było w założeniu — Łódzka Wiosna Artystyczna. Zakładamy, że ocena ostatniej „Wiosny" i dyskusja wokół niej przyniesie pewne postulaty i wskaże najwłaściwsze rozwiązanie formuły programowej tej największej łódzkiej imprezy kulturalnej.

Rozmawiał:
TOMASZ SOLDENHOFF

Foto: W. Parys

Z okazji Święta Odrodzenia — już po raz piętnasty — zostały wręczone Nagrody Państwowe. Miło nam odnotować, że Nagrodę I stopnia — za całokształt twórczości w zakresie dyrygentury — otrzymał **HENRYK CZYŻ** — dyrektor i kierownik artystyczny Państwowej Filharmonii Łódzkiej. Gratulujemy!

*

Najwyższe wyróżnienie w resorcie budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych za wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinie architektury — nagrodę I stopnia, otrzymał Zespół z Biura Projektowo-Badawczego Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt-Łódź" za autorstwo projektu Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Ten sam projekt został wyróżniony tytułem „Mister Województwa Miejskiego Łódzkiego" (w dziale „Budownictwo użyteczności publicznej"). Autorami projektu są inż. inż. Bolesław KARDASZEWSKI i Włodzimierz NOWAKOWSKI.

KRONIKA

*

Z inicjatywy łódzkiego Cechu Rzemiosł Metalowych jeszcze w tym roku na placu Władysława Reymonta stanie pomnik z brązu tego wybitnego pisarza. Autorem projektu jest Wacław Wołosiewicz.

*

Jednym z najważniejszych przedsięwzięć polskiej kinematografii będzie realizacja dwuseryjnego filmu „Polonia Restituta" o partyzantce na wydarzeniach lat 1914—1919. Realizacji podjął się zespół „Profil" reżyserii — jego kierownik artystyczny — Bohdan Poręba. Scenariusz Włodzimierza T. Kowalskiego.

*

Jeszcze w tym roku Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa przystąpi do rozpoczęcia budowy nietypowego osiedla o niskiej zabudowie, przeznaczonego wyłącznie dla artystów-rzeźbiarzy. Będą to zmodyfikowane, przystosowane do potrzeb pracowni rzeźbiarskiej domki jednorodzinne. Jeżeli pomysł „chwyci", można się spodziewać, że na Teofilowie — Rogatkach czynna będzie niedługo stała wystawa plenerowa rzeźb łódzkich artystów...

CO PISZĄ INNI?

Niezbyt pochlebną opinię o możliwościach baletu Teatru Wielkiego w Łodzi opublikował po obejrzeniu Wieczoru Baletów Polskich recenzent „Trybuny Ludu" Kazimierz Sarbicki („TRYBUNA LUDU", 12. VII. nr 163).

O „Pieśni o ziemi" Romana Palestra napisał: „Od strony wykonawczej spektakl stoi na przeciętnym poziomie, a para solistów — Janina Niesobska i Marek Skuratowicz — niewiele mogli zademonstrować" o „Harnasiach: „Wykonawczo jedynie Małgorzata Zalejska (Panna Młoda) zasługuje na wyróżnienie..."

(oprac. T.S.)

iZW GALERIA inwentor

OD GROT ALTAMIRY DO GALERII PRASOWEJ

Wszystko wskazuje na to, że galeria sztuki zaczęła funkcjonować wraz z powstaniem pierwszych znanych dziś dzieł sztuki. Najpotężniejsze galerie, jakie przetrwały do naszych czasów, to Groty Altamiry, Lascaux, Adżanty i in. Te „galerie" spełniały ówcześnie inną funkcję niż galerie dzisiaj. Jest mało prawdopodobne, aby funkcja estetyczna była ich funkcja zasadniczą; ustępowała ona raczej pierwszeństwu religii i magii.

Do niedawna jeszcze galeria kojarzyła się nam jednoznacznie z salonem, pomieszczeniem do wystawiania dzieł sztuki. Galeria była miejscem, w którym dzieła bezpiecznie oczekiwały swych odbiorców, a dzieła te i ich twórcy byli związani z galerią dość luźno. W XIX wieku wywodzący się z burżuazji marszandzi, przy pomocy kolekcjonerów, mnożą zbiory dzieł sztuki a co za tym idzie również i galerie, kierując się własnymi upodobaniami bądź chęcią schlebienia publiczności. Galerie pojawiają się coraz liczniej, z wolna specjalizując się (np. jedni manszardzi kupują tylko dzieła impresjonistów, inni — tylko obrazy niezwykle szokujące) i konkurując ze sobą. Choć przeobrażenia galerii datują się chyba od momentu utworzenia Salonu Odrzuconych (koniec w. XIX), do szczególnego ich rozwoju przyczynił się dopiero konceptualizm. Nowe formy wypowiedzi wywołują nowe formy ich prezentacji. Niemal wszystkie „galerie autorskie" przyleciały właśnie na skrzydłach konceptualizmu.

W połowie XX wieku galeria przestaje być eleganckim salonem. Galerię, „która się liczy", można zrobić nawet w pokoju, w którym się mieszka (np. „Galeria Pi" M. Potockiej w Krakowie). Galerie wychodzą poza pomieszczenia zamknięte w przestrzeń otwartą, bądź ograniczają się do mniejszej lub większej płaszczyzny. Galeria może więc istnieć na jednej tylko ścianie lub małym jej fragmencie (np. „Galeria 80×140" prowadzona przez Jerzego Trelińskiego w Łodzi).

Galerie mogą wręcz przekraczać granice widzialności. Wymienię tu powołaną przez niżej podpisanego „Galerię A-25", mieszczącą się na płaszczyźnie o wymiarach 0,17 mm × 0,18 mm, a także — gdyby istniała — galerię mogącą prezentować niektóre propozycje „sztuki niemożliwej", np. Gostomskiego strukturę przestrzenną we wszechświecie. Na przykładzie „sztuki niemożliwej" widać, że dzieło sztuki może się z powodzeniem obejść bez galerii, a nawet samo pretendować do miana galerii. Galeria jak gdyby pozazdrościła ważności swym „lokatorom", dziełom sztuki, i przebrnąwszy przez różne zabiegi formalne sama stała się dziełem sztuki, a jedność czasoprzestrzenna galerii (będącej zarazem dziełem sztuki) czyni przekaz plastyczny sugestywniejszym. Bywa, że galeria staje się tylko cząstką (fragmentem) przekazu artystycznego. W tym skrajnym przypadku stosunek dzieło sztuki — galeria zostaje odwrócony. To nie galeria zawiera ileś tam dzieł sztuki, ale dzieło zawiera szereg galerii. W ten sposób wykazana zostaje bezwzględna wyższość rangi dzieła sztuki nad wtórną w swej funkcji galerią.

Galeria jest miejscem obiektywizacji wypowiedzi artystycznych. Jednakże ze wzrostem ilości galerii maleje ich znaczenie jako tego miejsca na rzecz bardziej dynamicznych środków masowego przekazu. Można by więc zaproponować, aby środki masowego przekazu powoływały galerie na gruncie swojego, właściwego im tworzywa, a nie tylko — jak dotychczas — jedynie uzupełniały galerie (poprzez informacje o niej).

Niech się więc pojawia galerie telewizji, galerie poszczególnych gazet, dzienników, tygodników, miesięczników, galerie filmu i radia...

EDWARD ŁAZIKOWSKI

OD RED. Wypowiedzią Edwarda Łazikowskiego rozpoczyna działalność „GALERIA INWENTOR". Celem tej pierwszej na naszych łamach prasowej galerii plastycznej jest prezentacja prób i eksperymentów tych wszystkich (zwłaszcza młodych) artystów, których interesuje działanie graficzne, fotograficzne, słowne itp. poprzez środki dostępne prasie. „Galeria Inwentor" odpowiadamy tym samym na apel sformułowany przez autora powyższego exposé. **(t.s.)**

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 1605. I-2.